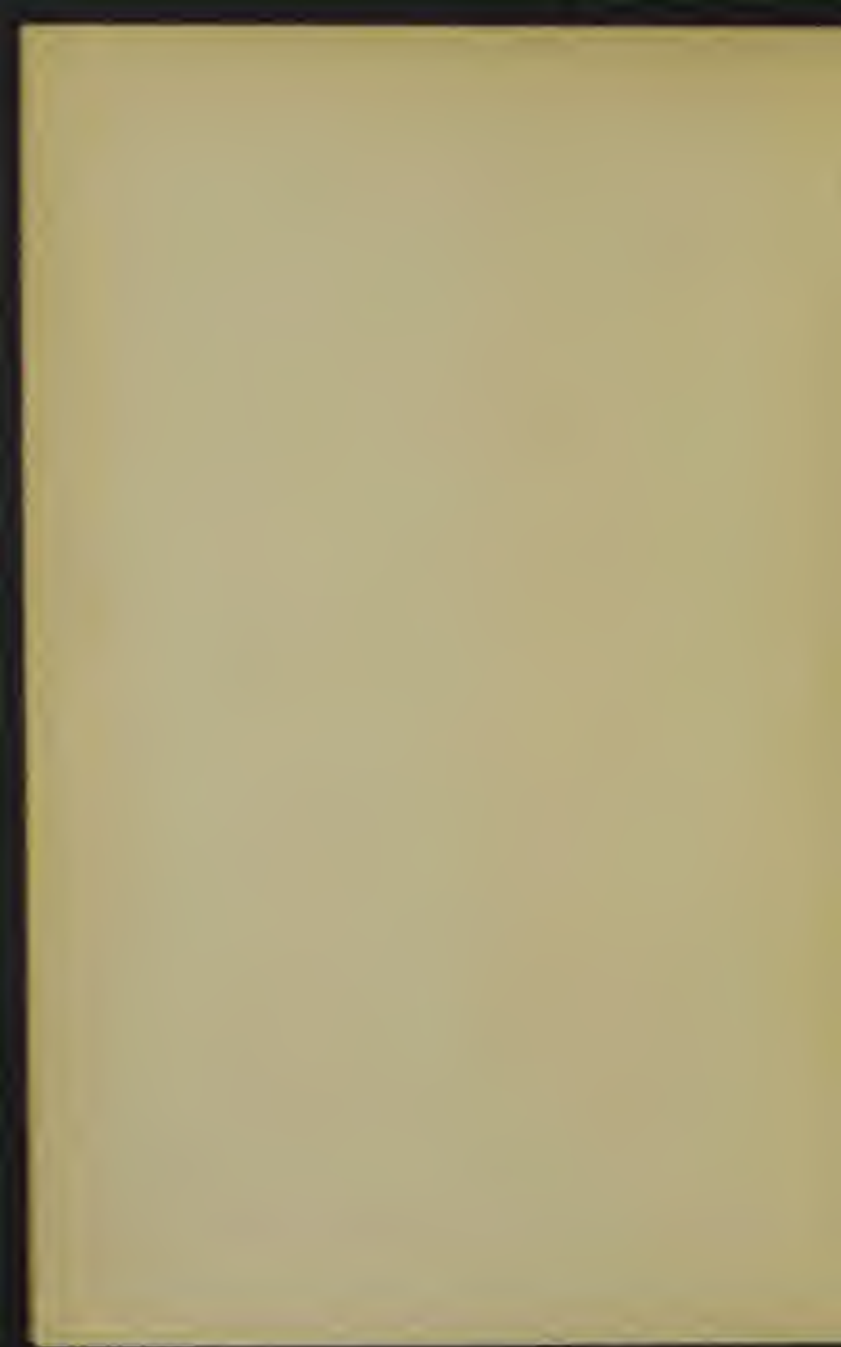


J E L I T A.



J. I. KRASZEWSKI.
POWIEŚCI HISTORYCZNE.
XIII.

J E L I T A.

LEGENDA HERBOWA
z r. 1331.

T O M II.

KRAKÓW.

Nakład Spółki wydawniczej księgarzy w Warszawie.

Gebethner i Wolff.

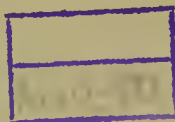
Michał Glücksberg.

Maurycy Orgelbrand.

G. Sennewald.

Edward Wende.

1881.



I.

Przed ołtarzem niedawno wzniesionym w kościele zamkowym na Wawelu, odprawiała się msza święta.

Ołtarz to był kosztem króla poświęcony patronowi jego, Władysławowi świętemu i przed nim teraz król i królowa Jadwiga, modlili się, bo tego dnia Łoktek miał przeciw Krzyżakom wyruszyć w pole. Oddziały jedne już przodem wyszły z obozowisk, drugie się gotowały ciągnąć.

Dzień był jesienny, niebo ołowianą zasłoną obciągnięte całe, powietrze ciche; natura jakby usypiająca i znużona. Na wielu drzewach liść już był pożółkły, z innych opadać zaczynał. Dymy z kominów miejskich wlokły się nisko i rozkładały po nad ziemię.

Są takie dnie, jak ten był, gdy wszyscy czują, jakby im czegoś do życia brakło, jakby

odpadała ochota — nie obiecywało nie jutro, a groziło czemś nieznanem i strasznem.

Taki ciężar i teraz leżał na duszach tych ludzi, którzy króla otaczali.

On sam zwykle wesół i ochoczy, gdy się na wojnę wybierał, nieustraszony niebezpieczeństwem żadnem, zasepiony był, milezący, chmurny.

W ciągu kilku dni ostatnich coraz bardziej niepokojące nadechodziły wieści od Wielkopolski i Krzyżackiej granicy. Potwierdzała się knowana zdrada wojewody Wincza z Pomorzana, i znoszenie się jego z Krzyżakami.

Mniej się tego może lękał król dla siebie i dla kraju, jak dla syna.

Każmierz miał przy sobie statecznego męża Nekandę, lecz młody był, nieopatrny, i choć mu na męztwie nie zbywało, w rzemieśle rycerskiem mniej wprawny, niż inni jego rówieśnicy książęcego rodu bywać zwykli. Dziecię tego ojca który przez pół wieku nie spoczął nigdy, z orężem ciągle i na koniu dobijając się i broniąc korony swej — Kaźmierz tą sprzecznością, która jest tajemnicą, a powtarza się często w następstwie pokoleń po sobie — nie miłował tak wojny jak ojciec, obojętnym był dla spraw rycerskich i wołał życie w pokoju i pracy gospodarskiej.. a rządnej.

Obawiał się Łoktek, aby w chwili niebezpie-

czeństwa, sama nieznajomość jego, zuchwałym go nie uczyniła.

Ku Poznaniowi teraz i król i królowa zwracali tęskne oczy, radzi się co o synaczku dowiedzieć.

W nim oni żyli oboje.

Posłowie, którzy przynosili różne wieści, o królewiczu mało wiedzieli. Mówiono że miał wyciągnąć, dokąd nie powiadano, bo dla bezpieczeństwa taić musiano, schronienie jego.

Król dnia tego sam za wojskiem wyruszyć miał.

Wiedziano już, że Jan, król czeski, który się razem i polskim nazywał, miał z Krzyżakami razem uderzyć na Polskę. Zakon czekał na niego, z nad Renu, z Inflant posiłki do Malborga i Torunia już nadeszły. Czechy się ociągali.

Uwiadomiony o tem król, chciał korzystać z opóźnienia i na Krzyżaków uderzyć, nimby się z Czechami połączyli.

Pobożna królowa Jadwiga, przed odjazdem małżonka pociągnęła przed ołtarz patrona.

Cały wojenny dwór pański, który razem z nim się wybierał w pole, zajmował szczupły naówczas kościół i kaplicę.

Modlili się oboje królestwo na tem właśnie miejscu, gdzie, wedle woli swej wkrótce może spoczywać mieli. Ołtarz św. Władysława grób wyprzedzał..

Łoktek, który dawniej przed swą podróżą do Rzymu mało pobożnym był, a duchownych lekce-
wazył, w ostatnich czasach odmienił się bardzo.
Za przykładem żony swej, która się zwała szczę-
śliwą, gdy na święto jakie do klasztoru zakonnice
zjechać mogła do Sądca i z niemi modlić się,
do stołu zasiadać, noc spędzać na pół w chórze,
wpół na twardej pościeli — Łoktek stał się po-
bożnym także.

Rzym, a teraz Awinjon popierał go we wszy-
stkiem i to właśnie drażniło zakon krzyżacki, że
staraniem Łoktka objaśniony papież, surowo gro-
mił rabusiów... *conantes exterminare idiomata polo-
nicum* (usiłujący wypłenić mowę (i plemię) pol-
skie) jak się wyrażali współcześni annaliści. Król
na pół klęczał, pół siedział obok szaro ubranej,
z zasloną białą na głowie królowej, modlącej się
gorąco, z podniesionemi do góry oczyma; — za-
łzawionemi. Poorana, opalona twarz jego smutną
była, oczy bładziły po kaplicy, po przytomnych,
a myśli gdzieś daleko po świecie.

Na mieczu się opierał, zbroję już miał na
sobie, a hełm z głowy zdjęty trzymało przy nim
stojące pachole.

Mszą biskup Jangrot (Jan Grot) celebrował,
poważny w sile wieku człowiek, którego by za
wielkiego w kościele dostojnika nikt nie wziął,
gdyby nie oznaki biskupiej godności.

Dziwny traf posadził go na tej stolicy, której

on nie pożywał ani się spodziewał. W młodych latach, gdy Jan w Bononji na naukach przebywał, znaleźli się tam razem z synaczkiem ubogiego szewca z Cahors, Jakóbem Eudem; i razem z nim czerpali mądrość z jednego źródła, a miłowali się z sobą.. Stracili się potem z oczów i Jan Grot spokojnie siedział na probostwie w Polsce, nie dobijając się dostojenstw, a kościół swój opatrując, gdy wysłani do Awinionu po osieroceniu katedry krakowskiej posłowie, (bo Nankiera wzięto do Wrocławia) — zalecający na stolicę Ottona proboszcza gnieźnieńskiego; spytani zostali przez papieża Jana XXII, czy by jakiego Grota nie znali? co się tam z nim działo i jak mu się wiodło? Syn ubogiego szewca zasiadł teraz na stolicy Piotrowej i przyjaciela młodości przypominał sobie.

Posłowie o Grocie nie wiedzieli nic, lecz papież chciał go mieć na biskupstwie krakowskim, i sam z siebie mianował. Ubogi proboszcz musiał tedy nagle, przeciw woli króla Łoktka, przyjąć ciężar biskupiego dostojenstwa. Król mu był zrazu niechętny i przeciwny, lecz się pojednali wprędce. Biskup był człowiekiem spokojnym, cichym, nauką i kościołem zajęтым tylko.. Pobożność jego i świątobliwość, prostota obyczajów zjednały mu króla i królowę. Nie były to już czasy owe, gdy biskupi krakowscy na pół z księżętą zarządzili krajem; Łoktek nikomu z sobą nie

dawał w państwie gospodarzyć, jednakże Jan-grota wzywał do rady i mało co bez niego poczynił..

Biskup był powierzchowności tak skromnej jak ducha, lecz znać w nim było mężnego pracownika tej winnicy, której całym oddać się musi człowiek, chcieli jej służyć.. I na jego twarzy w tej chwili ofiary wielkiej widać było uroczyste przejęcie się modlitwą za króla i za kraj. W rękę starca tego znużonego były przyszłe jego losy. Jeśliby niepodolał Władysław królestwo za ledwie zlepione znowu rozpaść się miało i pójść na pastwę obcym..

Dwu królów spierało się o koronę, z których jeden piastował ją, aby pomnażał, drugi wydierał aby rozerwał. Jan Czeski gdyby ją osiągnął zawczasu się nią dzielił z Krzyżakami.

Modlitwa więc za pomyślność oręża Łoktkowego była modłami za odrodzoną Polskę, zagrożoną śmiercią nową.

Wszyscy czuli uroczystość tej chwili.. poprzedzającej walkę, na sercach wszystkich brzemieniem już leżała wiadomość o zdradzie wojewody...

Biskup się modlił gorąco.

Msza właśnie dokończyć się miała błogosławieństwem, gdy od progu zaszeleściało coś, zamruczało, ludzie się rozstępywać zaczęli, głowę zwracać, królowa przełękciona drgnęła i w po-

śród rozstępującego rycerstwa, jak zwiastunka wesela, jakby anioł prorokujący dni jasne, ukazała się młodziuchna Hanna..

Wyprawiono ją dla bezpieczeństwa z Poznania, przybywała właśnie niespodzianie, z tą swą wesołością ptaszęcą, która jej nieopuszczała nigdy, z uśmiechem różowym, z wejrzeniem promienistym..

Gdy to jasne, młode oblicze zjawilo się wśród posępnego rycerstwa i poważnego mężów orszaku, z niem razem powiało nadzieją.. przyszła światłość jakaś na te smutku mroki — twarze posępne uśmiechać się zaczęły. Szła tak śliczna pani, aż do kaplicy progu, z oczyma śmiało w oltarz wlepionemi, — i tu pokłękła z dziecinną pobożnością świeżo nawróconej poganki nawykłej tulić się do swych domowych bogów.

Król i królowa z rozrzewnieniem patrzyli na nią, taką swobodną i pełną nadziei czy nieświadości.

Cała jej postać tchnęła młodością oblicza, szaty się do niej składały, płaszcz ze skarłatu, suknia bogato w kwieciste szyta wzory.. Piękny włos trzymała siatka złocista, a zasłona głowy biała, która innym mniszego coś dawała, ją ubierała wdzięcznie, łamiąc się w fałdy tysiączne.

Patrzano na nią, lecz — wkrótce oczy od tego obrazka odwróciły się z ciekawością rozbudzoną żywo, spoglądając na poważną, z oczyma

do łez zaczerwienionemi niewiastę w płaszczu jedwabnym i czapeczce na głowie.

Szła tuż za królewiczową, sama jedna, gdy reszta dworu trochę się dalej zatrzymała.

Ludzie zobaczywszy ją, szeptać coś do siebie zaczęli. Smutno wyglądała jak ofiara, jak cierpiąca okrutnie, a usiłująca boleść stłumić w sobie.

Matrona była, której przystało snąć w ślad iść za królewiczową, i która w prawie się czuła przy niej miejsce zajmować.

Na twarzy Łoktka malowało się zdziwienie i jakby odcień jakiejś radości, za którą wejrzeniem zaraz Bogu podziękował. Biskup stał błogosławiąc powoli podniesioną ręką, tak aby promienie tego krzyża sięgnęły najdalszych pobożnych... Spojrzał na klęczącą Hannę i ręka jego poruszyła się, jakby umyślnie jeszcze dla tej spóźnionej.

Chór księży z Marcinem Kantorem na czele zanucił pieśń błagalną i poklékli wszyscy.. Rycerstwo jej wtórowało..

Wielu z żołnierzy tego dnia przystępowało do komunji, bo kto na wojnę szedł, zbroił się w kościele. Na pobojuwisku nie zawsze znaleźli się kapłani..

Naostatek rycerstwo z kościoła wypływać zaczęło, wstała królowa idąc synową uściskać, podniósł się król i razem wszyscy przejściem krytem zmierz yli ku dworowi pańskiemu.

Poważna niewiasta idąca za Hanną strzymała się chwilę, jakby nie wiedziała czy ma się pozostać, czy razem z niemi dalej iść, gdy król, po wyjściu z kościoła, zwrócił się ku niej.

— Jużciż oczy mnie nie mylą! odezwał się — wy tu pani Halko! wy tu? wy?

Głos drżał królowi, niewiasta spuściła oczy, wybuchnęły z nich łzy, zakryła je chustą i żywo poczęła odrywając ją, a zmuszając się do odpowiedzi królowi.

— A! ja to jestem! ja! miłościwy panie — a moja bytność mówi o nieszczęściu mojem.

Załamala ręce.

Łzy powtórnie zalały jej oczy i odebrały mowę. Król stał, dając się wyprzedzić żonie i synowej, która śmiała się, szczebiotała, podskakiwała, a uroczysta owa chwila nie mogła żywej krwi jej pohamować. Zdala słyszeć było głos srebrzysty i śmiech do piosenki podobny..

O kilka kroków od tego wesela dzieciennego, smutna i płacząca stała matrona przybyła z królewiczową i król, któremu jeszcze przytomność jej tutaj była nie wytłumaczoną.

— Rozumiem przybycie wasze, począł Łoktek napróżno oczekujący, aby płaczu się jej przebrało.. Przybywacie z niecnej potwarzy męża oczyścić!!

Spojrzał na nią, ale ona z małym boleści krzy-

kiem, twarz zanurzyła w chustkach i zdawała boleściwszą jeszcze po królewskim słowie.

Czekał Łoktek, aby łyzy otarła. Wzmagający się płacz nauczył go, że przypuszczenie, z którem się odezwał, fałszywem być musiało.

Cóż więc mogła tu robić na dworze jego żona wojewody Wincza, którego obwiniano o zdradę?

Wpadł król na myśl, iż ją chyba jako zakładnika siłą porwano, i tu przywieziono.

— Czy wam zadano gwałt.. rzekł, zmuszając jechać do Krakowa?

Halka podniosła oczy spłakane.

— Nie! odezwała się głosem mocnym, jakby tem przypuszczeniem dotknięta — nie, miłościwy panie, przybyłam tu.. bo tam, niechciałam być świadkiem ani współnicą tego co się dzieje — co się dzieć będzie.

Miłościwy panie! dodała żywo, chwytając króla za rękę, jeszcze czas może — jeszcze się to nie spełniło. Ślijcie do niego słusznych, poważnych ludzi, niech doni przemówią słowem twem — on się opamiętać może.

Rozżalony jest.. a! tak! zabolalo go to że gdzie długo panem był sługą mu być kazano. Zawsze niepohamowanym był, gorącym, namiętnym. Jam żyła z nim, znam go.. on złym w duszy nie jest, on sam się zagryzie tem. Siebie ratujcie! jego ratujcie, miłościwy panie i ród nasz

aby się nie skaził zdradą!! Słijcie do niego..
nie poszedł może jeszcze..

Jam uciekła z domu, próżno go błagając
i przybyłam tu umyślnie, paść do kolan waszych,
abyście go ratowali!

Złożyła ręce Halka.

— Jeszcze czas! poczęła wołać lkając, czas
jeszcze...

Łoktek stał poruszony.

— Chodźcie za mną, rzekł powoli, tu nadto
nas ludzi słucha i otacza.. pomówiemy..

Szli ku dworowi, król przodem, niewiasty
wiodąc za sobą.

Łoktek wprowadził ją do izby posłuchalnej,
w której nikogo nie było.

Żona wojewody padła mu do nóg, obejmując je.

— Miłościwy krolu, zaczęła na nowo — on
sam płakać i żałować będzie występku swego,
jeżeli go popelni. Jedno dobre wyrzeczone słowo
odwrócić może odemnie hańbę, od was nie-
szczęście..

— Idę sam z wojskiem w tę stronę, odezwał
się król, naprzeciw Krzyżakom, a może i swoim
własnym. Nie czas stać, spotkamy się — lub
w obozie, jeżeli się upamięta, lub na pobojuwisku!

— Ciągniecie tam? przerwała Halka powsta-
jąc — tam! Pozwólcieź mi za obozem iść wa-
szym. Ja pójdę do niego z posłami waszemi,

Król ręką dał znak przyzwolenia,

— Jedźcie — rzekł, pewnie że się mnie i temu nieszczęśliwemu przydać możecie, lecz spocznijcie wprzód — ja już w pole muszę.

— Ja nie potrzebuję spoczynku, i nie znajdę go nigdzie, dopóki strach ten sromoty gonić za mną będzie..

— Aż do tej chwili — odezwał się Łoktek smutnie — wierzyć nie chciałem. Codzień przychodziły wieści, odpędzałem je. Wy dopiero tego nieszczęścia przynosicie mi pewność!

To mówiąc skinął ręką i oddalił się.

Czekano na niego.

W podwrocu konie rżały. Ciężko zbrojni z pomocą czeladzi wspinali się na konie. Szczękały oręże, rozlegały się wołania, zbierali się znajomi i do jednych należący pułków, by jechać razem. Dwór królewski doładowywał wozy szybko.

Dalej ku wrotom do czeladzi i rycerstwa wychodzącego, widać było przybyłe na pożegnanie niewiasty z miasta, z węzelkami, dzbanuszkami, z podarkami na drogę, ocierające łzy.

Szlochanie ich ciche, mieszało się razem ze śmiechami młodszych, ze skomleniem psów i dawanemi hasłami.

Niektórzy zawczasu wyjeżdżali w miasto, jeszcze po drodze zapewne chcąc wstąpić do browaru i napić się piwa..

W komnacie królowej zarumieniona podróżą,

rada że ją dokończyła, siadała, kręciła się, pod skakiwała wesóło zawsze Aldona.

Król patrzył na nią i lice mu się rozpogodzało.

— Gdzież Kaźmirz? — pytał — ja nic nie wiem. Niepokój mam o niego śmiertelny...

— Kaźmirz, — głosem śpiewnym i przeciągającym poczęła Aldona, — o! o niego możecie być bezpieczni! Ma przy sobie Nekandę, a to bardzo stateczny, rozumny i mężny człowiek...

No — i Kaźmierz też mężny jest... boć synem twoim! a gdyby rycerzem nie był jabym go miłować nie mogła...

Prawda — dodała — mówią na niego że on wojny nie lubi! ale któżby ją lubił — kiedy tyle krwi wylewa! A, dla tego, gdy bić się potrzeba!

Podniosła rączkę białą ale silną do góry, jak gdyby miecz w niej miała i rozśmiała się sama z siebie, a potem jak dziecko twarzyczkę zakryła.

I oboje starzy, choć ochoty nie mieli do wesela — rozśmiać się z nią musieli.

— Dokąd że Trepka Kaźmirza poprowadził? rzekł król.

— A! to wielka, wielka tajemnica, której mnie nawet powiedzieć nie chcieli.

Uśmiechnęła się. — Kto wie? oni może sami nie byli pewni dokąd pójda, ale Kaźmierz ma ludzi wybranych, doskonałych i tak zbrojnych jak Krzyżacy... w żelezie od stóp do głów... Oh! o!... Ci się nikomu nie dadzą...

Na zamku w Poznaniu — szczebiotała ciągle patrząc bystreimi oczyma na króla i królowę, ja-
bym się była chętnie została, choć sama... Na-
wyklam już do okolicy... w lesie tam... przy-
pomiwała mi się Litwa i nasze puszcze, tu koło
Krakowa takich drzew nie ma...

No cóż! nie pozwolili mi siedzieć w Poznaniu.
Trepka mówił ciągle że tam pod każdym kamie-
niem zdrada siedzi... Ja jój tam nie widziałam.
Kto ich wie? Mnie się ludzie uśmiechali...

Ruszyła lekko ramionami.

— Tu bezpieczniej — odparł król.

— Tak! tak, smutnie — przebaknęła królowa
Jadwiga spoglądając na synowę — będziemy ra-
zem się modlić...

Wielkimi oczyma popatrzała Aldona na ma-
tkę, nie odpowiedziała nic.

Ta nieustanna modlitwa, do której nie była
przywykłą poganka, — dziwiła ją i była dla niej
niepojętą. Jój śpiew wesoły stał za modlitwę
a wesołość za służbę Bożą.

Zdawało się biednej że młodość na to Bóg
dał, aby ona się jemu i światu jak kwiatek
wdzięcznie uśmiechała...

Posłuszną była matce mężowskiej i ducho-
wnym, lecz nie rozumiała modłów i one czyniły
ją smutną, gdy tak potrzebowała być wesołą.

Jadwiga badała ją oczyma...

Był moment milczenia...

Wrzawa dochodząca z podwórców przypominała królowi że wyruszyć musiał. W tém na myśl mu przyszła żona wojewody, i zapytał synowój.

— Jakżeś i gdzie dostała tę towarzyszkę?

— A! żonę tego niepocziwego zdrajcy — odezwiała się Aldona. Ta mnie napędziła na drodze, prosząc, błagając abym ją zabrała z sobą. — Cóż miałam czynić! Ah! a taka była przez całą podróż smutna, że mi zaśpiewać nie dawała...

Ja tak śpiewać lubię, jam tak do pieśni nawykła — lecz ile razy spojrzałam na jej twarz chmurną, na zapłakane oczy, piosnka mi w ustach zastrzegła.

Biedna kobieta — oczy wypłaczę... Porzuciła męża — a mówi że go kocha i że go chce ocalić... Jak go ocalić? — dodała krzywiąc się — kiedy wszyscy mówią, że poszedł do tych zbójców Krzyżaków. Kto się ich dotknie... ten się już nie oczyści nigdy... O! Krzyżacy!!

Zrobiła rycerską minkę, ale że śmiech u niej kończył wszystko, sama rozśmiała się z siebie.

Król stał, słuchał, patrzył, bawił go szczebiot ten młody i choć konie rżały, odejść mu się nie chciało...

Królowa tymczasem z opóźnienia korzystając niosła na jedwabnym sznurku zaszyte relikwje, które mężowi na wyprawę dać chciała.

Gdy się zbliżyła i ukazała je, król pocałował,

i natychmiast na szyję zarzucił sznur, tak, aby relikwiarz skrył się pod zbroję.

— Nie zgubcież go! — szepnęła Jadwiga, — pobożni księża nasi zaręczyli mi, że od wszelkiego zbawią cię niebezpieczeństwa, i zwycięstwo zapewnią...

— Zwycięstwo! — westchnął Łoktek — królowo moja — nie śmiem ja marzyć o nim. Jeżeli Jan nadciągnie z Czechami, a ten niepoń mi wielkopolan oderwie, nie będę miał z czém stanąć przeciw takiej sile... Po staremu z boku ich będę zarywał i niepokoił, do boju wstępnego nie stanę, rycerstwa mam mało...

— Bóg łaskaw — szepnęła królowa.

Aldonie oczy się zapaliły.

— Wy musicie zwyciężyć! — zawołała — na-przód, że sprawa wasza dobra... a Bogowie, (tu zarumieniła się mocno i poprawiła natychmiast) Bóg i święci patronowie pomogą. A wy, królu, ojczcie, wyście mieli szczęście zawsze i wszyscy mówią że bijecie się jeszcze jak młody i za dzie-sięciu starczycie.

Królowa przerwała.

— Właśnie on bić się nie powinien, tylko patrzeć, dowodzić, rozkazywać, a to jego grzech, że żołnierzem być chce, gdy mu wodzem być potrzeba.

Łoktek nieco się uśmiechnął.

— Tak, tak, babo moja—rzekł żartobliwie,—

rozumnie mówisz. Ja to wiem! Ale gdy człowiek w pole wyjdzie, nieprzyjaciela zobaczy, konie zarżą, kordy zabrzęczą, a posunie się rycerstwo na nieprzyjaciela — jak tu ustać! jak wytrwać jak tu miecza nie dobyć i nie pokosztować tój potrawy! Człek gdyby go związano urwałby się.

Gdy tak mówił twarz mu odmłodziła, drgnął, zdawał się rosnać małeńki pan — i gorąco popłynęła mu krew stara w żyłach.

— Czas — rzekł — ludzie czekają, niech Bóg błogosławi...

Jadwiga i Aldona przyszły go całować po rękach żegnając, i chwilowe rozweselenie zmieniło się znowu w tęsknotę i smutek.

— Król wyrwał się z izby...

— Na koń, — zawołał w sieni, gdzie ludzie jego stali — na konie!

Na rozkaz ten królewski, podawany z ust do ust, w podwórцу odezwała się zaraz trąbka, za nią dalej zagrały inne.

Ludzie z proporcami zaczęli się ustawiać na drodze, szykować, ściskać, — kobiety i czeladź prędko z tłumu uchodzić zaczęła ku wałom i murom...

— Król! król! — odzywali się jedni drugim oznajmując...

Dwie niewiasty, dwór cały zajmował przed-sienie, księża stojąc błogosławili krzyżami, po

chwilce ozwała się pieśń pobożna i zagłuszyła wszystko.

Ją teraz jedną słyszać było.

Bogu rodzica, dziewica,
Bogiem sławiena Marya,
U twego syna gospod'na
Matko zwolena Marya,
Ziśćij nam, spust winam...
Kirje elejson!!...

I pochod uświęcony tą pieśnią odwieczną stał się jakby uroczystością kościelną, jakby wielką processją pobożnych. Wszystkie oblicza spoważniały, znikły uśmiechy, lecz razem znikła troska wszelka o przyszłość... Szli z modlitwą, więc z Bogiem... Bóg szedł z niemi...

Tem gorętsze były modły, że oręż wymierzonym był przeciw Krzyżowi, przeciw tym co się Maryi sługami zwali... i w wielu sercach rodziła się wątpliwość...

Zwolna tak pułki wyciągały z zamku żegnane chust wiewaniem, czapkami, cichemi głosy...

Na Wawelu bito w dzwony.

Król jechał otoczony przez wojewodów swych, a siwy włos rozwiewał mu powiew wiatru, jechał i usta mu także poruszała modlitwa, a oczy szukały żony płaczącej i synowej, której smutek do tak dziecinnéj nie przystawał twarzy...

Za rycerstwem, za ciurami, za czeladzią i wozami, — jechała na wysłanym wozie, czterema końmi zaprzężonym, otoczona swą służbą, czarno odziana, jak żałobą, zakwefiona żona wojewody, ze spuszczoną głową, z różańcem w ręku, — jechała jakby wieziona na stracenie za męża winy, jak pokutnica, jak ofiara... I zasłaniała oczy, aby jej nie widzieli i nie poznawali ludzie, a nie piętnowali strasznym ognistym znakiem—zdrajcy żona.

Na ulice Krakowa przez które ciągnąć mieli wyległ lud aby zobaczyć i pożegnać króla...

Około ratusza stał burmistrz pan Mikołaj Wirsing z pany radnemi Wigandem z Lupsicz, Mikołajem Rusinem, Mikołą z Sądca, Heynuszem z Nisy, — a przy nich wójt Staszko i ławnicy...

Do przejeżdżającego króla z odkrytą głową zbliżył się burmistrz, uśmiechem go pozdrawiając serdecznym, na który król też dobrém słowem odpowiedział...

Teraz już między miastem a królem zgoda była i miłość, a obawy o zdradę nie miano...

Z ramienia pańskiego wysadzona była starszyzna i nie gospodarzył tu wójt dziedziczny, ale wierny królewski sługa...

Rycerstwo się do mieszczan uśmiechało, z okien słano im pożegnania...

— Wracajcie zdrowi a w dobrą godzinę.

— Bywajcie zdrowi!!

Idzwony były u P. Maryi, po kościołach, po klasztorach...

A potem gdy wszystko to, ludzie, ciury i wozy wyciągnęły w pole, stało się cicho i smutno.. Ostatni dźwięk przebrzmiał... Ludzie patrzali choć już nie widać nie było i myśleli — z czém oni powrócą?

Stary król co walczył pół wieku prostym żołnierzem szedł może na ostatnią swą wojnę...

Nie posłał wojewodów za siebie, ciągnął sam jak był nawykł, niosąc na posługę ludziom dłoń swoją, krew swą i wielkie swe serce.

II.

Trzeciego dnia po wyjściu z Krakowa, nad wieczorem kładło się wojsko obozem pod wsią Wronne, u skraju lasu, nad rzeczką...

Miejsce było dogodne, dla króla na nocleg stała pod kościółkiem plebanja; w wiosce coś nie coś dostać było można, a las dostarczał drzewa do ognisk i na szałas...

Ludzie powolnym pochodem byli znużeni i warczeli.

— Co tu noga za nogą się podkradać, — wołał Łęczycanin Sukosz zasiadając przy ogniu — wprost iść na tych zbojów, zewrzeć się z nimi i albo zginać albo zgnieść.

— Ale! — odparł Wilczek z Turowa z siwym wąsem, człek wystaly i doświadczony — ale! krew masz gorącą i chce ci się co rychlej do żonki powracać, — a wojna ma prawa swoje.

— Nasz król — odparł Sukosz, — nigdy nie zwykł był chodzić jak teraz... Ostrożności do zbytku, tak jak byśmy się ich bali.

— Nasz król, — mówił powoli Wilczek, który tymczasem sobie pokrajane w sztuczki mięso na drewnianych rożenkach u ognia przypiekał, — nasz król dawniej mawiał, jam sam słyszał — że walnej bitwy wydawać nieprzyjacielowi, wszystko na jedną kość rzucając, — nie godzi się, gdy wojsko nie ma przemagającej siły. Trzeba gonić za wrogiem, zasadzać się i urywać po kawale, póki się pogodnej chwili za gardło nie porwie i nie zdusi — tak wojował Krzywousty...

— A no! — krzyknął niecierpliwy Łęczycanin — tymczasem bestja Krzyżak pali siola i miasta, kościoły i klasztory i ludzi wyrzyna... Ot, co!!

— Pomścimy to, — rzekł Wilczek, — pomścimy...

Do ogniska drudzy się zwlekać zaczęli. Wszyscy byli posepni. Powolny pochód nie smakował im.

— Nie ma języka od granicy? — spytał Sukosz.

— Musi być, bo ciągle ludziska jakieś przyjeżdżają, rzekł przybyły Pakosz z Góry — ale im gębę zamalowują, że z żadnego nic nie dopytać. Miny nie gęste, król smutny... Kto wie co się tam dzieje...

— Wszystko złe przez tego zdrajcę, — zakrzyczał Sukosz — król go wykarmił, wychuchał, tłusty poleć smarował — i ot — co zyskał. Z tych wielkich panów zawsze korzyść taka...

Król przecie pamiętać musi, gdy powrócił z Rzymu, a chciał swoje ziemie odzyskiwać — kim naówczas się posługiwał? My biedaki szliśmy z nim — no, i kmiecie a chłopcy. Dopiero gdy się wzmógł przyszli panowie do niego.

— Ej! Sukosz — przerwał śmiejąc się Wilczek, — jak to na tobie widać, że ty masz możnego sąsiada, który cię dusi.

Sukosz zamilkł.

Nadchodzili jedni, drudzy od ogniska szli... Spragniony po podróży lud szukał innego napoju nad wodę co była w strumieniu, z którego już konie pily, — a piwa byłoomal...

— Jak da Bóg wojna się skończy — dokończył po chwili Sukosz, choćby król wojewodzie przebaczył... ubiję tego złoczyńcę... Gdyby nie on z Krzyżakami byśmy się rozprawili.

— A o Czechu to zapomniałeś? — wtrącił inny. — Na niego czekają i gorzej go się król obawia niż Wielkopolan...

Ja myślę, — dodał, — jakby oni Nałęczę czy jakie tam djabły, ukazały się przeciwko nam, a huknęli byśmy do siebie — gdyby dziesięciu wojewodów ich wiodło, bić się przeciwko królowi nie będą.

Nie wszyscy w to podobno wierzyli, bo się nikt z potwierdzeniem nie odezwał.

— Co to za babę na wozie wiozą za wojskiem? — zapytał Sukosz... — Cztery konie w wozie, ludzie dostatnio odziani, — co to za kobieta? Podglądałem jadąc, myślałem że choć młoda, — jaka Abizail królewska, ale gdzie tam! stare babsko... I nie wiadomo kto to jest.

— A nie wiadomo — rzekł Wilczek. — I mnie ciekawość brała dowiedzieć się, — ludzi badałem... Woźnica mi rzekł — Baba... i tyle, jeden ze sług odparł — Pani. — Jak się zowie? Na to on. — Albo ja wiem... — A z kądżeście? Ze wsi! — A z jakiej? — Nazwiska zapomniałem...

Po cóż się tają?

— Chyba król czarownicę wiezie, — zawołał przybyły Wężyk, — aby uroki Krzyżackie odganiała.

— Kto ona jest nie wiem i ja — począł Darosz z Suchej Więrzby — ałem za wozem jej jechał długo i to wiem, że całą drogę płacze... Nikt jej nie zna, do nikogo nie mówi słowa...

Ruszyli drudzy ramionami.

Od plebanji w której król gościł nadjechał Zemięga ziemianin, który przy wojewodzie jakiś urząd sprawiał. Zwrócili się ku niemu wszyscy, bo wesół był i gadatliwy.

— Co słyhać tam między głowami? — pytał

Sukosz, który z rozpaczny na kobierczyku się przy ogniu wyciągnął.

— Dobrze słyhać! — zaśmiał się Zemięga — król posyłał na gościniec któredy Czechy miały ciągnąć. Ani słychu ich... Jeszcze się nie wybrali...

— To po cóż czekać! — krzyknął Sukosz — wprost na zbojów, póki im posiłki nie nadciągną.

Zemięga zlazłszy z konia siadł przy ogniu w kuczki, helm zdjął i za piwem, którego nie było oglądał się.

— Tobie Sukosz, — rzekł, — byle prędzej choćby i zginąć — a my ochoty do tego nie mamy.

Z Krzyżakami choćby sami byli, sprawa nie łatwa... Nadciągnęły im Niemcy z nad Renu i — licho wie zkad, mówią że z za morza... Psiarstwo to słyszę ma jakieś kusze żelazne zbojeckie, niewidome, które im ich czarnoksieźnicy wymyślili. — Mówią iż z hukiem wielkim jak grzmot rzucają takie kamienie z nich, że od razu kilkudziesięciu ludzi, z daleka rzucone ubijają...

— Tfu! — odparł Sukosz — babskie plotki, puścili je aby głupim strachu napędzić.

— Nie bajki to są — nie, — rzekł Zemięga — mają ten jakiś ogień piekielny...

— Ogień juści i dawniej rzucać ludzie umieli, zagadał Wężyk. — Nie wielka rzecz z kuszy pu-

ścić belt smołą obłany i zażegnęty... Nie nowego...

— Co ty mi mówisz—ofuknął go Zemięga — ja ci powiadam com z pewnych ust słyszał, że na Malborgu i w Toruniu mają takie żelazne rury, z których na raz ogień bucha...

Wszyscy zamilkli.

— Nie wierzę aż zobaczę—zawołał Sukosz—nie wierzę. Cóż to tym złoczyńcom miałby pan Bóg dawać taką siłę!

— Jaki pan Bóg! — sprzeciwił się Wężyk—chyba Lucyper. Albo to nie wiecie że Krzyżacy tylko udają iż Chrystusa czczą, a mają swojego boga mosiężnego głowę, której się kłaniają i koźła, przed którym się modlą, — ale nie do głowy, tylko do ogona.

Niektórzy się śmiać zaczęli.

Zemięga dodał, iż byli ludzie co rzucanie ognia piekielnego widzieli i huk słyszeli i opowiadali, że kule kamienne, których dwu ludzi podźwignąć nie mogło, czart ten wyrzucał.

— Cóż by to była za wojna! — zawołał Sukosz... co by już człowiek i rycerz był wart w niej, gdyby go tak zdala bezbronnego można zgnieść?

— A no — kiedy tak jest! — westchnął Zemięga.

— Plotą, aby nas straszili — zamknął Wilczek — nie ma o czém gadać...

Rozprawiano tak około ognia, i zdania się różne z sobą spierały.

W drugiej stronie obozu, po za wozami, w których królewskie szaty, zbroje i zapasy prowadzono, — nieco odsunięty od innych stał ów czterokonny zaprząg, który wioził nieznaną płaczącą niewiastę. — Była nią żona wojewody Wincza.

Na samą wieść o zdradzie jego, która się coraz bardziej szerzyła — powstała w wojsku i starszyźnie taka niechęć, taka nienawiść przeciw zdrajcy, iż imienia jego wymówić nie było można. Biedna niewiasta słyszała omdlewając jak go przeklinano, odgrażano się nań i zemstę mu zapowiadano. Musiała więc tać nazwisko swe, bo z niem życia nie była pewną. Zakazała ludziom wyjawiać je... sama zaś trzymała się na uboczu od wszystkich, milcząc...

Tych, którzy zagadywali do niej, zbywała milczeniem i łzami.

A że zawsze u nas wielkie było niewiast poszanowanie i cześć dla łez, nie naprzykrzał się jej nikt... Litowano się domyślając nieszczęścia, które ją dotknęło.

Trafiło się tego wieczora, iż wozy królewskie, a z nimi i wojewodzinę, najbliżej były Sieradzian, między którymi Florjan Szary się znajdował.

Od wyjazdu z domu, żonę pozostawiwszy na obcych opiece, świeżo po przest్రachu takim,

chodził jak noc smutny. Słowa z niego nikt nie dobył.

Musieli mu znajomi dać pokój, aźby — jak powiadali — wysapał się i odszedł.

Na pamięci mu stała jego biedna Domna, taka, jaka go z młodszą na ręku dzieciną żegnała w progu. Więc każda biedna, płacząca niewiasta, to na nim czyniła wrażenie, że ją przypominała.

Coraz to ku temn wozowi spoglądał a litował się nad płaczącą.

Nie zaczepiał jęj jednak i nie nastreczał się, bo go drudzy już ostrzegli, że z nikim mówić nie chciała i ludzie jęj, imienia nie wyjawiali nikomu.

Głowy sobie bardzo nie łamał, kto była, ciekawości nie miał zbytniej, litość czuł tylko wielką.

Przy wozach z rycerstwa dla opieki nie było nikogo, same ciury i czeladź. Nie spuszczał z niej oka Florjan.

Pod noc już ludzie wojewodzinęj, dawniej do ulegania nie nawykli, zuchwali dosyć, poważnili się u wodopoju z królewskimi. Od słowa do słowa, bezcześcić się zaczęli, kamieniami ciskać, aż i do kijów porwali. Parę razy pociski padły blisko pani Halki która przerażona krzyknęła.

Wnet Szary pobiegł w pomoc, i z powagą swą rycerską, pomiędzy to tałatajstwo wpadłszy, pogromił je i rozpędził.

Zbliżył się potem do wozu, dobrém słowem chcąc pocieszyć kobietę, która mu dziękowała.

— Nie obawiajcie się — rzekł — ja tu z mojami ludźmi niedaleko leżę, i jakby potrzeba było gotów jestem zawsze.

Śpię czutko...

Miał też sobie za obowiązek dać się poznać niewieście, i rzekł:

— Sieradzianin jestem, Florjan Szary się zowie, z Surdęgi... Nie pytam miłości waszój o nazwisko, bom słyszał, że go mówić nie chcecie...

— Z Surdęgi? — odezwała się nieco zasłony podnosząc żona wojewody... Wszak ci to Leliwianka Domna pono wasza?

— A tak! — rzekł ochoczo Florjan, zdziwiony że o jego żonie wiedziała. — Poczcliwe moje żonisko musiałem porzucić ze starym ojcem w domu. Ale jakże to wy o niej wiedzieć możecie?

Jakiś czas pomilczała zagadnięta, aż po chwili rzekła cicho.

— Juściż rodzina o sobie musi wiedzieć — a Leliwi moi... powinowaci. Słyszałam o nich...

Florjan nie śmiał dopytywać więcej, ale się u wozu zatrzymał.

— Kiedy tak, — rzekł — a my z sobą choć jakimś węzłem blizcy, nie omieszkajcież mi sobie kazać służyć. To powinność! Bóg widzi — dodał — nie ciekawym, gdy się być nie godzi, ale jakaż

bieda mogła was zmusić, tak się wlec za obozem? To utrapiona rzecz...

— Prawda! rzekliście!—odezwiała się Halka—bieda i wielka nad miarę zmusiła mnie jechać za obozem. Jestem bardzo nieszczęśliwa!

Westchnęła ciężko i płakać zaczęła.

Florjan czuł litość coraz większą i nie chciał się już oddalać, choć pytać nie śmiał.

Popatrzywszy nań, obejrzawszy się do koła trwożliwie, pani Halka lży poczęła ocierać.

Przypominała sobie teraz, iż tę twarz Florjanową kędyś już widziała. W istocie, gdy wojewoda był w Pomorzanach na rozmowie z Szarym, ona podszedłszy ku drzwiom, przybyłemu się przypatrywała postłowi, lękając, czy nie był od Krzyżaków wyprawiony.

Teraz dopiero fizioptomja ta wyrazista przypomniła się jej. Nie była jednak pewną.

Sama Leliwianka z domu, choć dalsza krewna tamtych Leliwów, do męża Domny czuła większą ufność niż do innych...

Pochyliła się więc ku niemu i spytała go po cichu.

— Nigdyście nie bywali w Pomorzanach, w W. Polsce.

— Jako? — odparł Florjan zdumiony. — Niedawno temu do wojewody mnie posyłano...

Spojrzała nań długo biedna kobieta i pochwyciła za rękę.

— Domyślcieź się ktom ja! — rzekła. — Ja nieszczęśliwa żona jego jestem... Winceza z Pomorzan!!

Tu lzy ją zdusiły znowu.

— Przybyłam do Krakowa z Hanną królewicówną — mówiła — prosić króla, aby słał do mojego męża ludzi słusznych, aby mu z serca wyrwali... tę myśl piekielną.

O Boże mój — on zdrajcą przeciw panu — on zdrajcą przeciw ziemi swój, on z Krzyżaki... on z nieprzyjacioły!!

Florjan politowaniem zdjęty, stał, nie śmiejąc się odzywać.

— Nie rozpaczajcie miłość wasza — rzekł po namyśle. Jeszcze się to odmienić może... A cóż tu radzić? co?

— Ja go znam najlepiej — mówiła niewiasta łkając — on nie wytrwa w złem, sam sobą się brzydzić będzie. Żli ludzie go poduszczyli, dobrem słowem by to odwrócić można.

Król, gdyby chciał...

— Cóż król? — zapytał Florjan.

— Milczał — nie odpowiedział mi tak, jak nie...

— Pocieszcie się — zamruczał Szary — może czém jeszcze odwrócić od was to nieszczęście będzie można...

To rzekłszy i miarkując że dłuższa rozmowa więcej by ją rozżaliła tylko, Florjan po cichu

coś rzekłszy, odszedł do swych ludzi, przypominając, aby w razie potrzeby do niego się udała.

Jeszcze się był od wozu nie oddalił nad kilka kroków, gdy od plebanji jakby co gromadami rozłożonemi w polu poruszyło...

Ruch się wszczął jakiś niespokojny, ludzie biegać zaczęli, kupkami się zbierać — cisnąć, rozpowiadać, krzyczeć, konni biegali po obozie.

Popłoch jakiś poruszył wszystkich. Ci co leżeli, wstawali i szli się dowiadywać.

W powietrzu latały przekleństwa i odgróзки.

Ponieważ nie bardzo jeszcze ciemno było, a na wzgórzu przy plebanji smolnych parę beczek zapalono dla króla, Florjan dostrzegł, że kilku jezdnych, których konie trzymała czeladź, świeżo do dworku przybyło.

Siadł więc na koń, czeladzi rozkazawszy, aby się nie ruszała, i poleciał wprost na plebanją, by u źródła dostać języka i dowiedzieć się prawdy.

Chociaż po drodze dochodziły go różne wołania i imiona — nie zatrzymywał się aż u drzwi księżego domu.

Szczęściem trafił w progu na Hebdę.

— Na Boga, panie wojewodo, — zawołał — co to jest. Nowe nieszczęście jakieś?

— Nie! nie nowe, — krzyknął z gniewem

wielkim Hebda. — Dawnośmy się go spodziewali — a teraz się tylko spełniło, w co żaden poczciwy człek wierzyć nie chciał.

Wojewoda z Nałęczami poszedł do Krzyżaków, a oni z nim już wpadli i palą, a rzną i niszczą...

Odparto ich, słyszę od Inowrocławia z niemałym trudem, ale Słupcę wzięli i spalili... i żywe nie puścili duszy.

Królewicz nasz z Nekandą w Pyzdrach był, godzili na to, aby go porwać, szczęściem w porę ostrzeżony, uszedł z życiem i dąży ku nam.

Z Pyzdr też kupa popiołu!!

Gdy to mówili ziemianin odarty, z suknią na piersiach nagich poszarpaną, z twarzą palającą, rozogniony, na pół oszalały, nieprzytomny wyszedł z izby od króla.

Wyproszono go z tamtąd, aby Łoktka więcej nie rozżalał i serca mu nie psuł — lecz ust mu zamknąć nikt nie umiał, mówił a raczej ryczał z boleści, szarpiąc na sobie odzież, na głowie włosy, ręce na pół obnażone podnosząc do góry i załamując nad czaszką... Stał w progu, jęcząc i wyrzekając...

— Gdzie przeszli tam po nich ino popieliska i trupy...

Nie szczędzili nikogo, dzieci, starców, księży po kościołach, kościołów... Ludzi co do nich uciekali u ołtarza z szat do naga odarłszy, rze-

zali... urągając się. W Słupcy ksiądz sakramentem w rękę trzymanym się nie obronił...

Piekło na ziemi? Gdzie Bóg? Krzyże na płaszczach — a to szatany wcielone...

Łaska Boża, iż królewicza nie schwycili, nie darowali by i jemu...

Wojewoda nasz był z niemi! Boże miłosierny...

Padł na progu, rękami zakrył twarz i powtarzał ciągle.

— Gdzie Bóg? gdzie Bóg?

Wikary się młody zbliżył do niego i strofować go począł za bluźnierstwo, ale starzec spojrzał nań groźnie.

— Dobrze ci mówić! boś ty na to nie patrzył... bo ci jak mnie żony i dzieci nie zabito, boś nad trupami krwawemi łzy nie płakał... A chorągiew ich z krzyżem! Gdzież Bóg?

Szalał biedny...

Słyszac wrzawę w sieni wyszedł sam król, blady, twarz jak marmurowa. Widać było, że drżał wewnątrz, ale zdawał się nieporuszony, oczy tylko błyskały.

— Cicho! — zawołał — cicho... Poleje się krew za krew... Bóg cierpliwy ale mściwy...

— Natychmiast by iść na nich, póki się nie spodziewają — zawołał gorączkowo z za króla Żegota z Morawicy — iść i tłuc.

Król się odwrócił z surową twarzą...

— Jedźcie mi po obozie — niech się ludzie

uspokoją i żeby mi żadnego wolania, a wrzawy nie było. Jam tu wódz!

Nikt rozkazywać, nikt się niczego domagać nie ma prawa. W obozie zatrąbić na spoczynek.

Skinął ręką. — Cicho! ni słowa!

I z wielkiem podziwieniem słuchających król z naciskiem silnym, głośnie — dokończył:

— Jutro — cały dzień spoczynku, tu... nie ruszymy się.

Wszyscy do koła zamruczeli i poruszyli się, Łoktek spoglądał surowo i brwi ściągał.

— Ład żeby mi był... a kto mi się rwać będzie i krzyczeć, do mnie na sąd...

Trąbić na spoczynek.

Zwolna zaczęli się niektórzy poruszać, a wojewoda posłał z rozkazami do obozu.

Król wolnym krokiem do izby powrócił i zamknął drzwi za sobą.

Szanowano tak wolę surowego pana, iż na skinienie jego i wysłane w imieniu króla nakazy, obóz natychmiast zaczął się uciszać. Starsi biegli zmuszając do milczenia.

Gdy Florjan do wozów powrócił, zamierzając wdowie nowego zmartwienia oszczędzić i zamilczeć przed nią — znalazł ją już uwiadomioną i leżącą na wozie bez przytomności.

Sługa jadąca z nią cucila i odcierała omdlałą.

Żadna pociecha nie była w porę — stanął

około wozu — popatrzył chwilę i usunął się po cichu.

Przez całą noc jęki niewieście go dochodziły.

W obozie mało kto zasnął tej nocy. Pozornie panowała cisza i spokój, bo królewskie słowo miało siłę potężną, lecz niepokój w umysłach był straszny...

Co niecierpliwi o rychłą pomstę wołali. Tym czasem nazajutrz kazano im stać w miejscu, potem pół dnia zwijano obóz, zamiast wprost ku granicom i zagrożonemu krajowi, Łoktek dał rozkaz wojsku i usunął się z niem w lasy na prawo...

Widziano go na koniu jadącego, z twarzą kamienną, z wejrzeniem osłupiałem — lecz wodzowie widzieli, co się kryło pod tym chłodem i martwotą, nikt nie śmiał doń przemówić.

Mówił mało... — krótkimi słowy, odpowiedzi nie słuchał...

Zdawał się nawet nie widzieć i nie poznawać najbliższych...

Wieczorem kilka skarg było do wojskowych sędziów, król najsurowiej karać kazał...

Tydzień leżał obóz w lasach, i posły tylko biegały języka dostając...

A kto z językiem powrócił pod karą główną słowa się nie ważył mówić po obozie.

Wojsko nie wiedziało nic — a niecierpliwość w nim wrzała okrutna...

Już z nowego obozowiska ruszać mieli nad rauem, gdy na granicy od lasu orszak się ukazał... Straże zaraz zatrąbiły na gwałt, ale im umilknąć kazano. W sto może koni i zbroi jechał ktoś wprost do namiotu królewskiego.

Łoktek pieszo jak stał wyszedł naprzeciw. Hełmu ni czapki nie wziął. Kosmyki włosów siwych wiatr mu rozwiewał... szedł z podniesioną głową...

Spostrzegłszy go, z konia zeskoczył rażno młodzian. Był to królewicz, a za nim tuż jechał Trepka...

Każmierz pięknym był i miał prawdziwie Królewską postawę, Królewski strój i uzbrojenie, jakby nie na wojnę, a na gody się wybrał.

I on i dwór jego różnił się od ojcowskiego jakby do innego należał świata. Coś młodego, świeżego, bujniej rozkwitłego wiało od tych błyszczących rycerzy z pióropuszcami, ze świecidłami, i dziwnymi na hełmach postaciami... Łokietkowi przy nich ciężko, czarno, opuszczono, grubo, wydawali się i niemal barbarzyńsko...

Każmierzów orszak lżejszym był i zwrótniejszym... lecz widać było, że próby boju nie przeżył...

Zbliżywszy się do syna Łoktek ręce wyciągnął i gdy ten mu się do kolan chylił, zarzucił je na szyję jego, począł całować w czoło... Niemógł mówić.

Spojrzał z wdzięcznością na Trepkę i skinął tylko mu, jakby mówił — Bóg ci zapłać...

Zwolna kamienna twarz wypogadzać się zaczęła, piersi poruszać, jakby odbłask krwi ożywił mu policzki...

Szli razem do namiotu — i w nim znikli...

Zamaszysto, rażni królewiczowscy ludzie poczęli zsiadać i rozgaszczać się...

W obozie domyślano się teraz, dlaczego stali tu tydzień — czekali na królewicza...

Gdy Loktek do namiotu z synem wszedł, Trepka pozostał okolo opłotków. Tu go otoczyli wojowodowie, chorążowie, pułkownicy — nalegając i dopytując, co się działo.

Nekanda powtarzał im to z czem wprzód przybył ziemianin, że od Brześcia i Inowrocławia udalo się pierwszy zamach odeprzeć, że Słupcę i Pyzdry a okolice Krzyżacy puścili z dymem.

— Na godzinę przed przybyciem ich pod Pyzdry, dano mi znać — mówił Nekanda. — Gdybym sam był, bronił bym ich — alem tę drogą krew królewską ocalić musiał.

Uszliśmy szczęśliwie — ścigani co chwila w obawie, że nas dognają — Bóg miłosierny...

— A Krzyżacy? — pytał Hebda.

— To była tylko próbka — rzekł Nekanda — wrócili do Torunia, bo król Jan się im opóźnił... Tylko co ich znowu nie widać. Niepoczeiwy Wincz z nimi!!

W tem uchylił król namiotu ściankę i zawołał.

— Nekanda!

Ten wszedł, królewicz stał przed ojcem z twarzą posepną i zafrasowaną.. Łokietek miał ten wyraz oblicza, jaki przybierał, wydając rozkazy.

— Dziś jeszcze przepędzicie ze mną dzień do wieczora — odezwał się — rozumiesz. Jutro musicie z nim—wskazał na Kaźmierza—na miejsce bezpieczne.

— Ojcie — odezwał się Kaźmierz — srom dla mnie! nie godzi się to... lituj się.

— Milcz gdy rozkazuję — rzekł Łoktek — wiem co czynię. Miałbym ja dwu takich jak ty, nieszczęślił bym ciebie. Jeden jesteś, a na twoją głowę korona czeka... Milcz i słuchaj...

Korona pójdzie w sztuki, gdy zabraknie głowy...

Zwrócił się do Nekandy...

— Szukaj z nim bezpiecznego miejsca i najbezpieczniejszego zamku — ja ci go oddaję, musisz mi całym powrócić.

Trepka skłonił głowę.

— Bić się — dodał król — to by była zabawka... rozkosz — musisz cierpieć i słuchać — ja się będę bił — mnie nie szkoda, jam stary, ze mnie już gałąź nie wytryśnie nowa...

Kaźmierz ręce skrzyżował na piersiach, jak gdyby jeszcze króla chciał błagać, lecz Łoktek

nie patrzył nań, radził z Nekandą, odżył widocznie po przybyciu syna, wstąpiła wien nadzieja.

Niemówił co począc ma, bo z tego nigdy się nie był zwykł przed nikim spowiadać — pytał tylko... Nie wspomniał o Winczu...

Gdy Trepka napomknął o nim, spojrział król i zawarł usta...

Ciemno było w namiocie, lecz mogło się здаwać, iż coś się w oczach starego zaszklilo...

Po długim opowiadaniu o zniszczeniu, które Krzyżacy zrzadzili, Łoktek nagle zwrócił się do Nekandy.

— Och! jeden — Wincz... rzekł — on, jeden... zemsta... niecny człek... wąż — wąż — ale całaz Wielkopolska z nim przeciw mnie.?

Wlepił w niego oczy.

— Miłosierny panie — pospieszył z odpowiedzią Trepka — niech Bóg nchowa od takiej potwarzy. Nałęcz z nim i to nie wszyscy, Dobek mu wypowiedział posłuszeństwo... Inni idą pod grozą, aby im majątności nie palono, spodziewając się je ocalić... reszta płacze i narzeka na zdrajcę...

Niech się szala przechyli na stronę naszą, odbiegna go wszyscy...

— Daj Bóg! — rzekł król krótko i uśmiechnął się do syna...

— Nie tęsknij — dodał, przyjdzie i na ciebie

czas do boju... U nas miecza do pochw scho-
wać nie można... i długo jeszcze pozostanie tak.

— A dopóki pokoju mieć nie będziemy — we-
stchnął królewicz — póty kraj stać będzie w le-
piankach i gruzach, i wieśniak mrzeć z głodu
i miasta drzeć ze strachu o handle swoje...

— Tak dziecko moje — gorzko uśmiechnął
król, i dla tego ja wojuję życie całe, abyś ty ten
pokój odzierał po mnie, dali Bóg że go nam
Stolica Apostolska z tym narodem bezbożnych
mnichów wyzyszcze...

Mnie już do ostatka trzeba krew lać... a ty
żniwo zbierzesz po niej.

Uściskał go...

Jedźcie gdzie za zamek bezpieczny, w głąb...
daleko, gdzie by ani Jan was niedostał, ni Krzy-
żacy — ja błdzić będę i kryć się po lasach aż
mi Bóg powie i da do serca. Teraz czas!...
O! gdy przyjdzie godzina — pomstę uczynię o-
krutną, jak psów będę dławił, jak zbrodniarzy
ściął i tak nie przebaczę nikomu, jak oni nie
przepuścili niewinnym działkom moim...

Zamilkł nagle...

— Amen — dokończył Trepka skłaniając
głowę.

III.

Na jesiennem niebie chmurnem gorzała łuna ogromna, gorzała już dzień drugi, noc drugą. We dnie na czarnej chmurze paliła się krew, w nocy na krwawym obłoku czerniały dymy. I nie było słyhać nic — bo tam gdzie przeszła pożoga ta straszna nie zostało ludzi, gorzały podzieranane trupy... Obóz krzyżacki leżał pomiędzy Łęczycą spaloną, wsiami, które Krzyżacy zrównali z ziemią a Kaliszem. Ogromne to wojsko Niemców, którego jedno skrzydło składały pułki wojewody polskiego rozłożyło się w dolinie szeroko.

Czerwony namiot wielki, po nad którym biała z krzyżem czarnym i orłem cesarstwa powiewała chorągiew, zajmował środek obozu. Tu z gośćmi swemi odpoczywał Marszałek Teodoryk z Altenburga. Obok niego Otto z Luterbergu i komtu-

rowie Elbląski, Pomorski — Toruński gospodarzyli, przyjmując sprzymierzeńców i gości. Kilku grafów z nad Renu, jeden Anglik, posiłki Inflant-skie, w osobie swych wodzów — zasiadali do wesolej uczty, której luna przyświecała zdala.

Wesołość w obozie dochodziła do szału, nie tylko pod czerwonym namiotem brzęczały puhary. Spiewki i szczęki odzywały się z szalasów i od ognisk do koła.

Przy jednym z nich kilka obnażonych kobiet, powiązanych sznurami leżało na ziemi..

W szarych płaszczach rycerze chodzili do koła, potracając je nogami.. Jeden z nich końcem miecza kłuł ciało, które z bólu czucie straciło.

Opowiadano sobie, jak w Łęczycy obnażone niewiasty ścinano razem z księżmi..

Śmiech tych ludzi podobnym był do zwierząt ryku..

Z innych miejsc nagle wybuchały podobne krzyki wesole — pastwiono się tam nad jeńcami. Około wozów służba rozkładała lupy.. a między nimi leżały ornaty kościelne, kielichy i kobiece suknie i klejnoty. A nad tem wszystkim krzyż powiewał.

Zakonnicy nagradzali sobie za długie w zamkach zaryglowanie. Tu wszystko im wolno było.

Pod namiotem czerwonym, siedzący i nawpół leżący, krzyczeli głośno.. Osobliwie starszyzna

krzyżacka, płaszcze białe zmagaly się na zabawianie gości.

Grafowie z nad Renu słuchali, Teodoryk z Altenburga, wódz najwyższy, wyniosła postać na silnych nogach z ogromnemi stopy płaskimi, głową przechodzący większą część swych współbiesiadników, stał jeden z twarzą spokojną człowieka trzeźwego między upojonemi. Patrzył, przysłuchiwał się, brwi ściągał..

Przechodzącego komtura z Elbląga zapytał po cichu.

— Gdzież ten Polak?

— Musiał pójść złożyć pod swym namiotem wydychać — odparł uśmiechając się mały, a krępy rudobrody komtur.

Brwi Marszałka ściągnęły się.

— Nadto bo mu dojadacie, rzekł, takiego pomocnika szanować potrzeba. Lepszego przewodnika trudno by dostać.

Komtur się skrzywił.

— Dumy jego znieść trudno — rzekł, razi ona wszystkich. Bądź co bądź jest to zdrajca.. Zdrada pożądana, ale zdrajcy obrzydliwi..

— Znosić go jednak musimy — odparł Marszałek i po małym przestanku dodał — do czasu..

— A nawet bardzo niedługo, odparł komtur. Szkodliwym nam już być nie może. Spalił mosty za sobą. Głupi człek zresztą, bo się oddał w ręce nasze na łaskę i niełaskę.

— O! nie — rzekł uśmiechając się marszałek — próbował z mistrzem wchodzić w jakieś układy. Stawił się na stopie sprzymierzeńca.. Stary nasz zbył go jak należało — nie nie przyrzekłszy.

Komtur poruszył ramionami i rudą potarł brodę.

— Nie przycinajcie mu gdy siada z nami — odezwał się Teodoryk.

— Ja nań nawet nie patrzę.. odparł ze wzgardą komtur.

— Ale też i lekceważenia mu takiego okazywać nie wypada..

— Komtur przerwał ze śmiechem własnymi słowy Teodoryka.

— Do czasu!

— No — do czasu! zapewne — powtórzył marszałek — ale przed czasem żółci mu burzyć nie należy.

Graf von Rheden, jeden z gości, stojący blisko i słyszający rozmowę, dorzucił.

— Proszę was przezacny panie — u stołu mnie przy nim nie sadzajcie — wszystko mi się kwaśne wydaje od jego twarzy..

— Trudno wymagać by wesółym był — odezwał się marszałek — jużciż pałamy z nim razem, czy on z nami, wioski jego braci i plemienia.

— Gdy z nami idzie, wyrzec się go powi-

nien — zawołał głośno komtur, z gwałtownością wielką. Myśmy rycerzami niemieckimi, — sprawa nasza nie ma wspólnego z temi plemionami, które wyniszczyć potrzeba i wygubić aby zająć ich ziemię.

Marszałek nie przeczył, a drugi komtur toruński dodał.

— Póki tu ślad ich języka, ich obyczaju, ich rodu zostanie, pokoju mieć nie będziemy. Dla tego musimy wycinać w pień.. i na karczunku krwawym nowy las sadzić.

— Jeśli sobie pochlebiają — rzekł marszałek, że my ich przez jakąś ludzkość szczerzyć będziemy!!

Nie dokończył i mruczając się odwrócił.

— Pułki wojewody — począł Elbląski, potrzeba zawsze naprzód słać, gdzie największe niebezpieczeństwo i gdzie najpewniejsza śmierć, tym sposobem się tych pomocników pozbędziemy.

— Ale dziś, bracie mój, — przerwał zwracając się marszałek, jeszcze są potrzebni! Dla tego samego nam dobrzy, że Łoktkowi bez nich źle bardzo.

Słyszę że stary lis, nieśmie wyleść z jamy. Kryje się gdzieś z lichem swem zbieranem wojskiem, po lasach. Nie będzie śmiał nam stawiać czoła. A pod Kalisz i króla Jana się doczekamy.

Spojrzeli po sobie.

— Króla Jana! daj to Boże rzekł z powątpiewaniem Toruński komtur.

— Przyjdzie zapewne — odezwał się inny ze starszyny, ale dla niego wcześniej worki nabite przygotować trzeba. Prawda że jako prawowity król polski Pomorze nam odda na wieki, ale zapłacić sobie każe. Pieniądzy potrzeba będzie dlań dużo.

Marszałek Teodoryk z dwuznacznym uśmiechem, rzekł ręką na kraj wskazując.

— Dostarczy nam ich ta wyprawa.. W Kaliszu ja się wielkiego łupu nie spodziewam, ale ztamtąd pociągniemy na Gniezno.

— Kościelny skarbiec stary, zamożny dla króla Jana srebra dostarczy.

— No -- i inne miasteczka, w których handel większy, nie są do pogardzenia.

Kalisz osadzić musimy.

Zaczęto mówić o położeniu zamku, o wodach które przystępu bronily, o obwarowaniu miasta.

Marszałek zapewniał że pod Kalisz król Jan powinien był nadciągnąć.

Gdy pod krwawym namiotem toczyły się tak rozmowy, na skraju obozujące polskie pułki Należców, odosobnione, w położeniu najgorszem, szemrały, z Niemcami zwady były nieustanne. Niepuszczali oni do wodopoju, zajmowali najlepsze łąki, przywłaszczali sobie najwygodniejsze stanowiska. Między ciurami i żołnierzem, jak

gdyby lada chwila miała walka wybuchnąć, zaczepki były ciągle. Silniejsi Niemcy nadużywali swej przewagi. Polskie posiłki wzgardzone, prawie jak niewolnicy musieli podrzędne jakieś zajmować stanowisko. Skargi na to nie pomagały. Wojewoda się burzył — marszałek u którego się upominał o poszanowanie Wielkopolskiej ziemi, odpowiadał mu pół-słowy, ruszał ramiony, tłumaczył się wojną, nie zważał wreszcie na nie i czynił swoje.

Nie było już żadną tajemnicą w obozie, że po wzięciu Kalisza, który się spodziewano opanować — droga na Zuin szła wprost do Gniezna, w serce Wielkopolski. Przebąkiwano o wyprawie na Sieradz, na Wartę. O łupieży stolicy arcybiskupiej mówiono zawczasu obiecując sobie z niej wiele. Wincz chodził po małym namiocie swym, wybiegał z niego, biegał po podwórzu, siadał, wstawał i wszyscy widzieli jawnie że krew w nim się burzyła.

Niekiedy spoglądał na czerwony namiot marszałka z taką złością, jakby chciał pójść nań nie z posiłkiem, ale z mieczem w dłoni.

Wśród dokoła stojących pułków wojewody — toż samo rozdrażnienie panowało, jakie nim miało. Starszyzna schadzała się, naradzała burzliwie, krzyczała i ku Niemcom ręce wyciągając, zdawała się grozić im. Lecz cóż znaczyły groźby

bezsilne, gdy garść ta była w ręku Krzyżaków, czterekroć silniejszych i lepiej uzbrojonych.

O parę set kroków od namiotu wojewody, przy wozach Remisza Nałęcza, który wiekiem i powagą najstarszym tu był po wojewodzie, stało dowódców, wszystkich rodem Nałęczów, z dziesiątek. Byli tam Żegota zwany Siłacz, Klimsz zwany Ogon, Jur zwany Nosal i inni.

Żaden z nich na chwilę nie przysiadł, chodzili wszyscy miotając się. Po przykrem milczeniu następowały wybuchy krzykliwe. Remisz jak mógł uśmierzał.

— Te psy sobie z tego nie robią nawet tajemnicy — mówił Ogon — wprost z Kalisza pójdą na Gniezno. Znają dobrze gdzie się najlepiej obłować mogą. Sam słyszałem na uszy moje że ten sam los który spotkał Łęczycę, obiecuja nietylko Gnieznu, ale Środzie i okolicom, Sieradziowi potem, Warcie i.. kto ich wie!!

Pójdą może i na Poznań! a my im pomagać mamy gdy nasze własne dwory łupić i palić będą!!

— A no, tak! krzyknął Żegota Siłacz.. po-
tośmy szli i tak piękny z niemi wojewoda sojusz zawarł, bodaj jutra nie doczekał — że będziemy się sami ze skóry odzierać!

— Mówił nam, dodał Ogon, że przez to my ocalimy nasze mienie, i kraj — a teraz? co! zdał nas jak niewolników — przepadliśmy..

— Przepadli! powtórzyli drudzy.

— Mamy ginać, zawołał Klimsz — no — to i on z życiem nie ujdzie.. Niech ginie.

Remisz nakazał milczenie.

— Nie łowcie ryb przed niewodem, nie może być aby nas i siebie gubił, człek bystry.. rozumny.

— Ale stracił rozum bo go złość opanowała — wtrącił Ogon Zemsty mu się zakosztować chciało, i sam się zdał za nią.

— Czekajmy no — rzekł Remisz.

— Czego czekać? żeby było po czasie? podchwycił Siłacz. Nie! oto jak stojemy idźmy się z nim rozmówić jasno i szczerze.

— A no! idźmy — wołali inni.

Remisz siedział niepewien.

Patrzali nań.

— Idziecie z nami! zapytali.

— Muszę, odparł krótko.

Zebrali się więc do gromady, poszeptali nieco, ustawili wedle starszeństwa, przybrali poważne postacie i zwolna poczęli kroczyć ku namiotowi wojewody, który właśnie był wyszedł z niego i widział ich gromadzących się a zmierzających ku sobie.

Po drodze do gromadki tej zaczęli się przyłączać inni, z dziesiątki urosła wprędce w dwójnasób. Garnęli się wszyscy, kto się tylko dowiedział dokąd i po co idą. Nim mieli czas dojść

do namiotu, wojewoda w którego oczach się to działo, — postrzegł i domyślił się że starszyzna ku niemu szła, a i celu tego wystąpienia łatwo mu się było dorozumieć, bo go pojedynczy już od dni kilku słowy zaczepiali, i ostro się im odcinać musiał. I teraz też widząc że go pewnie naprą aby się tłumaczył. postanowił nie pobłażyć i nieugiąć się a stawieć ostro.

Im więcej czuł swą winę, tem mniej mógł do niej przyznać. Kości były rzucone, wycofać się niepodobieństwo.

Idąc zwolna Nałęczce naradzali się, kto rzecznikiem miał być, Ogon'a i Nosala obawiano się dla gorącości ich, zgodzono się na Remisza..

Gdy już wątpliwości mieć nie mógł Wincz, że do niego idą, stanął z podniesioną głową, oparłszy się na mieczu i czekał na nich wyzywająco.

Remisz przodem szedł.

Powitali się zimno.

— Przychodziemy do was na radę i z żałobą, — odezwał się mowca. Coś źle się nam zapowiada wyprawa. Niemcy nie czynią z tego tajemnicy że z pod Kalisza na Guieźno chcą, no — to i okolicy nie darują. A co się stanie z naszemi wsiami i osadami? Wszystko pójdzie w perzynę? a po cóż my tu?

Wojewoda wydał usta.

— Przecież ja w tem jak wy poszkodowany

być mogę — odezwał się. Zostawcież mnie o to staranie. Do Gniezna daleko.

— Nie tak bardzo — mruknął Ogon. A my teraz w ich rękach..

— Mistrz mi przyrzekł — począł dławiąc się wojewoda — że nas oszczędzi.

— A marszałek pójdzie po swej myśli. Wojna jak woda, mówił Klimsz, puścić ją łatwo, ale zatrzymać ją i pokierować nią, niech kto będzie mądry.

Wincz surowo spojrzał, burzyło się w nim coraz silniej, zagryzał usta blade, oczy mu zasły jakąś powłoką krwawą.

— Zwierzyliście mnie dowództwo.. począł głosem napróżno hamowanym, w którym czuć było gniew okrutny, — jam tu najwyższy wódz. Wasza rzecz ze mną iść i mnie słuchać..

— A kto nie zechce..

Rękę podniósł jak gdyby gałęzią groził.

— Ho! ho! mruknął Ogon, ho! ho! ziemianieśmy nie niewolnicy, poczekaj!

— Żołnierze nie ziemianie — odparł przyskakując doń wojewoda. Tu kto nie słucha, wienien sądu.. a kary innej nie będzie u mnie — tylko — śmierć! słyszycie.

Odwrócił się nagle, jakby do namiotu iść chciał.

Niezłękniomy wcale Ogon — zawołał wnet.

— Już tak z nami mówicie? już tak! Sprzedaliście nas niemcom? he?

Wojewoda przypadł ku niemu za miecz chwytając, ale Remisz porwał jego rękę i jak w żelaznej obręczy ją zatrzymał.

— Słuchaj wojewodo — rzekł, nie dolewaj oleju do ognia. Miarkuj się, radźmy jak swoi, jak bracia jednego rodu.

— Ani rodu ni braterstwa nie ma na wojnie, począł wojewoda — jedno jest — rozkaz i posłuszeństwo.

— Ziemianin i na wojnie ziemianinem być nie przestaje — odparł Ogon.

Z za niego jeden z Nałęczów, nieopatrzny krzyknął.

— Wiedz ty — Wincz.. że choć wojewodą jesteś, jak nas zdradzisz, tak jakoś króla zdradził, to ci łeb utniemy!!

I miecz błysnął.

Wincz swojego dobył.

— Będzie komu mnie pomścić — zawołał na obóz niemiecki patrząc.

Okrzykiem zagłuszono go, wszyscy byli oburzeni..

— Dobrze tak! krzyczeli z tyłu stojący. Dobka nam było słuchać a nie jego. W matnię nas wprowadził, na zgubę..

Rozgorzało okrutnie. Wojewodę ledwie Remisz utrzymać mógł tak się miotał i wściekał.

Tymczasem w niemieckim obozie postrzegłszy ten zamęt i spór, Krzyżacy wstawać zaczęli, ruszać się też i dawali sobie znaki zbliżając się powoli ku polskiemu oddziałowi.

Klimsz wskazał to swoim, wszyscy się pomiarkowali. Sam wojewoda ochłonął nieco, i z Remiszem a dwoma innemi wybranemi usunął się do namiotu. Reszta ich w oczekiwaniu rozłożyła się do koła, siadając i kładąc się na ziemi. Z namiotu słychać było głosy podniesione, gorące, ale mało co kto urywanych wyrazów mógł dosłyszeć, ziemianie zbliżali się, nastawiali ucha — kiwali głowami.. dawali sobie znaki. Po chwili zniżył głos wojewoda, ciszej prowadzono rozmowę. Przedłużyła się ona dosyć, — i gdy Remisz z towarzyszami wyszedł z namiotu, w którym wojewoda pozostał, poszeptał coś swoim, którzy powstawali i dosyć kwaśni a pochmurni rozchodzić się zaczęli.

Jaki był skutek rozmowy, wiedziało tylko kilku starszyny, innych zapewniono że — wojewoda z Krzyżakami ostro się rozmówi i kraju ich bronić będzie, hoć razem i siebie.

Do czasu więc pozornie uspokoiły się umysły, Remisz z kilką którzy go nie odstępowali, nim doszedł do swych wozów, zobaczyli jak wojewoda przeodziawszy się w lepsze szaty i kilku ludzi biorąc z sobą, podążył wprost do czerwonego namiotu. Robiło się ciemno, ale pod mar-

szalkowskim, gdzie gości przyjmowano jasno było.. Jak gwiazdy czerwone w dali błyskały porozrzucane ogniska niemieckiego obozu. Wiatr poruszał wielką chorągwią, która jakimś głosem dziwnym się do niego odzywała, zwijając i rozciągając nad namiotem, targana jakby gorączką jakąś, która naprzód ją rwała..

Mierzonym krokiem szedł wojewoda do namiotu, a gdy pomijał ludzi krzyżackich, nawet Knechtów i sergentów ich, żaden mu krokiem z drogi się nie usunął i nieokazał najmniejszego uszanowania, choć znali go że wodzem był i pacholę przed nim miecz niosło.

Ale co dla Niemców Polak znaczył?

Uśmiechali się spoglądając nań z ukosa, jakby już spętany był i w niewoli.

Rycerstwo bardzo głośno rozprawiało pod namiotem, gdy u wniścia jego pokazał się wojewoda Wincz. Szedł za nim nieodstępny towarzysz Petrek Kopa. Spojrzawszy na Wincza wszyscy Krzyżacy i grafy i pielgrzymi, siedzący u stołu zamilkli nagle. Nikt z powitaniem nie spieszył. Dopiero zdala stojący marszałek gdy milczenie mu oznajmiło że coś je spowodować musiało, obrócił głowę, i krokiem poważnym, jakby od niechcenia, z obowiązku przybliżył się do wojewody. Skłonił lekko głowę i na ławę u stołu nie zajęłą wskazał.

Ktoby niewiedział jakim tu okiem i sercem

patrzano i przyjmowano wojewodę, z przyjęcia łatwoby się mógł domyśleć. Mierzono go oczyma nieufnemi, złemi — pogardliwemi. Odwracali się jedni, drudzy udawali zajętych rozmową cichą między sobą.

Marszałek zmuszony był sam odezwać się do Wincza.

Z Kalisza nam przyszły wieści, że mieszcza- nie już się opatrzyli co im grozi i, głupcy, bro- nić się myślą.

Patrzył czekając odpowiedzi.

Wojewoda milczał.

— Od króla choć nie ma wiadomości, ale pod Kalisz przyciągnie pewnie, posłałem do niego, aby pospieszał — rzekł Teodoryk.

— A o królu waszym krakowskim, wieści nie ma — dodał. Uciekł w lasy.

Na wzmiankę o Łoktku zarumienił się wo- jewoda.

— Moim królem Jan — odparł — tamtego już nie znam.

To mówiąc dał znak marszałkowi, iż potrze- bował mówić z nim na osobności. Teodoryk do- syć niechętnie, zawahawszy się trochę, począł iść przodem. Minęli stół od którego oczyma za niemi pogoniono. W końcu tej jakby obszernej sali, za zasłoną, oddzielony od niej, ale zrosły z namiotem wielkim, był marszałka sypialny ra- zem z kaplicą.

Teodoryk podniósł kobierzec, którym zawieszono było przejście i wszedł pierwszy, wskazując wojewodzie aby szedł za nim. Tu stanął i czekał milczący.

— W obozie złe chodzą wieści — począł Wincz.. Ludzie się moi niepokoją wielce. Gawieźdź wasza plecie o pochodzie na Gniezno.

Wojewoda mówił to złamanym językiem, potrzeba mu było tłumacza i wskazał na drzwi. Marszałek udzielił pozwolenie. Kopa wszedł.

— Tak jest — szybko potwierdził Petrek. W obozie naszym wielki strach. Po drodze Nałęczę mają wioski.. obawiają się wszyscy..

Marszałek ramionami ruszył i wesa pokręcił, flegma go nie opuszczała.

— Juściż na Gniezno i Wielkopolskę nie pójdziemy? zagadnął wojewoda, wpatrując się w oczy Krzyżakowi, który stał nieporuszony.

— Ja wcale dziś mówić nie mogę dokąd pójdziemy — odezwał się obojętnie, król Jan nadciągnie, zechce pewnie objąć Poznań, zechce wziąć Gniezno, my się temu sprzeciwić nie możemy, kraj to jego.. królem nad nim jest, odebrać go powinien.

Wincz otarł twarz.

— Gdyby chciał Polskę tę objąć, niepotrzebuje jej niszczyć, oddamy mu ją.. rzekł — ja..

— A jeśli się grody upierać będą? odparł Teodoryk.

Wojewoda spuścił głowę.

— Wierz mi, Palatynie — począł marszałek, nie przewiduj zbyt mocno i nie trwóż się. Wojna i zdobycie bez szkód się obejść nie mogą.

— Ale myśmy sprzymierzeńcy wasi, my idziemy z wami — będziemy patrzali na zniszczenie mienia naszego?! zapytał Wincz.

Teodoryk w milczeniu zatarł ręce, brwi mu się w górę podniosły, usta poruszyły i skrzywiły, milczeniem mówić się zdawał.

— Na to poradzić nie mogę.

Cofnął się nieco w głąb małego namiotu.

— Palatynie, rzekł powoli mierzając wyrazy. Król Jan i zakon potrafią wam dobrą wolę okazać i zawdzięczyć. Znajdzie się czem wynagrodzić straty, lecz dla uniknięcia ich my sobie wyprawy psować nie możemy.

Tak! ożywiając się mówił dalej. Musimy krakowskiemu królikowi wrazić strach i pokazać że się na wojnę z nami porywać niebezpiecznie. Pójdziemy ogniem i mieczem.

— Ależ to kraj nie krakowskiego pana, ale Jana! odparł żywo wojewoda.

Marszałek postrzegł że się wydał mimowolnie z tem iż w polską koronę Jana nie bardzo wierzył — i żywo wtrącił.

— Nie wiemy jeszcze nic.. nie wiemy. Zresztą, Palatynie — wasze majątki oszczędzimy i pominąć będziemy się starali.

— Moje? odparł wojewoda — jabym o nie nie tyle stał, ale innych Nałęczów co są ze mną i burzą się.

— Burzą się? podchwycił marszałek — burzą? dajcie ich w ręce moje, ja uspokoję..

Uśmiech szyderski towarzyszył tej obietnicy.

Po chwili zadumany wojewoda począł znowu.

— Mistrz mi obiecał..

Marszałek który był przysiadł na posłaniu, wstał.

— Mistrz nie dowodzi wyprawą, i nie odpowiada za nią — rzekł. Po powrocie rozmówicie się z nim.

Nie siadał już i okazać się starał jakby rozmowę tę za dokończoną uważał. Wojewoda siedział, — znękany był i upokorzony.

— Wnijdźcie w położenie moje — rzekł głosem przytłumionym — proszę was, — wdzięczności wam będę.

— Położenie wasze! a tak — odpowiedział Teodoryk. Rozumiem że jest przykre — ale ja go osłodzić nie potrafię. Wszystkie jego następstwa musicie przyjąć. To było do przewidzenia.

Zmierzyli się oczyma, oburzony chłodem, w którym trocha przebijało się szyderstwa, Wojewoda wstał. Brwi ściągnął, chciałby był okazać się groźnym, nastraszyć, zaniepokoić — lecz Teodoryk patrzył na to jego podrażnienie i gniew z taką chłodną krwią, z jaką słuchał wymówek

Wojewoda był w mocy ich..

Marszałek nie czekając aż wynijdzie, sam pierwszy podniósł zasłone i powoli powrócił do swych gości, wiodąc za sobą jak skazańca, z wyrokiem na twarzy wypiętnowanym wojewodę.

Kopa włókł się za nim.

Pozostała tu starszyczna i goście, którzy na powrót Teodoryka oczekiwali, powitali go zdala pół uśmiechami.

Wincz, niechęć natychmiast ztąd uchodzić, padł na ławę zamyślony, lecz ukryć mu było trudno że na osobności rozmowa źle dlań wypaść musiała.

— Szkoda, panie Palatynie — podniósł głos komtur toruński, który łamaną mówił polszczyzną — żeście temu młokosowi królewikowi z Poznania dali ujść!! Gdyby się go nam było udało wziąć.. krakowski królik dałby nam za niego czego byśmy żywnie zażądali.

Wojewoda zachnął się.

— Ostrożny był — szepnął krótko.

— A w Pyzdrach — dodał komtur, gdzieśmy na pewno go się spodziewali, furta tylną się nam wysunął.

— To wasza była sprawa nie moja — rzekł wojewoda. Samiście tam byli.

— Jego i tę pogankę żonę potrzeba było w Poznaniu zachwycić — dodał Elbląski komtur. Monarchą się chrześcijańskim niby zowie, do

Rzymu pielgrzymował, do Awinionu teraz śle skargi, pobożnego udaje, a syna z poganką tego rodu bałwochwalców ożenił..

— Ochrczoną jest — wtrącił Petrek Kopa. Komtur się rozśmiał.

— Kto kiedy z poganina, chrztem zrobił chrześcijanina? — rzekł szydersko. Chyba zaraz oblawszy go wodą i krwią obmyć, aby nie miał czasu wrócić do własnych wyrzutów! Chrzest dobry jest tylko mieczem.

Ochrczono ją, mówicie, a ja wiem że po dziś dzień obrzędy najobrzydliwsze pogańskie potajemnie sprawuje i do lasów jeździ dębom się kłaniać, szatanowi służyć!!

Okrzyk zgrozy rozszedł się pomiędzy biesiadnikami.

Oni tu ten cały kraj swój mianują chrześcijańskim — mówił Elbląski. Mają niby kościoły, mnichów.. ale poganie są.. Wszystko to udane, kłamstwo.

Wojewoda odezwać się nieśmiał, Kopa cofnął się i milczał. Marszałek nie mieszał się do rozmowy. Winczowi z rozkazu jego pigment podano w kubku, który on nietkniętym na stole zostawił.

Chwilę posiedziawszy, wstał z miejsca swojego, zlekka pozdrowił siedzących, którzy mu ukłoni nie oddali i wiodąc za sobą Kope, wyszedł z namiotu.

Szyderskiemi oczyma ścigano go.. Milczenie trwało dopóki się nie oddalił.

— Mojem zdaniem — zamruczał komtur to-ruński, jabym mu nie radził wierzyć. Mieć go trzeba na oku.

— A czegoż się od niego obawiać mamy?? oparł się Marszałek. Gdyby się do krakowskiego królika chciał wrócić, miecz go czeka, bo ten nie przebacza. Na łasce naszej jest.

Obożny też wie, iż jego ludzi w środek brać należy i naszymi opasywać.

Był nam jeżeli nie strasznym to niedogodnym, póki zemsta w nim nie zawrzała — a teraz!! Pogardliwie urwał Teodoryk.

Niektórzy dzielili zdanie jego, inni siedzieli milczący.

Przez rozwarte wnijscie wielkiego namiotu widać było niebo czarne, zasiane gwiazdami i ziemię czarną zasianą ogniskami.. Z drugiej strony na tle nocy, płonęła luna ogromna, poruszająca się, jakby szła i zbliżała, a gonila wojsko.

W dali rżały konie i pieśni pijane.. słychać było klótnie przerywane nagle.. Wiatr niekiedy od strony spustoszenia przylatywał z poselstwem śmierci, z wonią zgorzeliska i trupów..

— Jak dzień do Kalisza — odezwał się Mar-

szalek, aby nie mieli czasu się obwarować i za-
długo nas tem nie strzymali.

Komturowie obrócili się do swych kompa-
nów wydając rozkazy, biesiadnicy szli do swoich
namiotów spoczywać.

IV.

Nie było czasu namiotów rozwijać pod Koninem, wojewoda krył się od sloty pod szalasem na przedce z gałęzi skleconym — przysiadł sparty o ściankę jego od strony nawałnicy przeciwnej — otulony oponczą, z głową zwieszoną na piersi, nie podnosząc oczu, obawiając się spojrzeć przed siebie.

Nie ten to był człowiek, któregośmy dumnym, silnym, pewnym siebie w Pomorzanach widzieli, wyzywającym króla, gotowym walczyć ze światem całym. Była to ofiara namiętności własnych i niepoczciwości ludzi. Wychudła twarz, zapadłe szczęki, powiększone boleścią oczy, patrzące dziko, drgające ręce, uszy na najmniejszy szelest drażliwe — strasznym go razem i politowania godnym czyniły. Siedział sam, opuszczony przez

wszystkich, bo służba nawet zbliżała się doń z obawą, niechęcią, ze wstrętem.

Prawa jego ręka Włostek, siedział gdzieś na uboczu...

Ziemiańskie, którzy nań napadali, szukając u niego ratunku, teraz już przekonani o bezsilności jego, opuścili zupełnie. Zemstą się odgrążano, lecz nikt się nie porywał z nią — każdy musiał myśleć o własnem ocaleniu. Od napadu na Łęczycę i Kalisz, spory kawał czasu upłynął, Wielkopolska w znacznej części została zniszczoną, złupioną, ogniem i mieczem obróconą w pustynię.

Ci co szli z krzyżakami, własnemi oczyma patrzeć musieli na płonące sioła swoje, na rabunek swych dworów... Niektórzy pouchodzili z obozu, innych uchodzących pochwycili i wiązali krzyżacy...

Wszystkie, najgorsze przepowiednie się ziściły... Kalisz został wzięty, za nim szerokim pasem poszła pożoga i śmierć...

Nigdy krzyżacy większego nie ukazali okrucieństwa...

Marszałek, który mało mówił, a wiódł bezlitośnie zastępy swe, nikogo nie opuszczając, raz tylko się odezwał.

— Niech się papieżowi skarży królik Krakowski — zobaczymy co zyszcze...

Uragano się królowi, który zdala i jakby nie

śmiało szedł za zwycięzkimi rabusiami. Słychać o nim było, nie ukazywał się nigdzie...

Pomimo siły swej i zwycięstw, których żadne niepowodzenie nie zatrulo, krzyżacy byli niespokojni. To widmo króla, chodzące za nimi ciągle, nie pochwyczone i nie postrzeżone, nie dawało im usypiać na zgliszczach...

Polski oddział wojewody zdawał się iść z nimi po to tylko, aby patrzeć na zniszczenie ziemi swojej. Wlekli się opasani jak niewolnicy, bezsilni.

Wojewoda napróżno wołał i prosił litości, płakał łzami krwawymi, — Marszałek słuchał go obojętny, a w końcu i słuchać poprzestał. Odma-
wiał mu rozmowy, posyłał do niego podwładnych. Zbywano go czasem słowem lodowatem, niekiedy urągowiskiem.

Zdrajca, od którego odwracali się wszyscy — pokutował, piekło nosząc w piersi i dręcząc się jak potępieniec. Nie było dlań ratunku — każdy dzień, każda łupież i zniszczenie nowe spadały brzemieniem coraz cięższem na obarczone starca sumienie...

Widok zemsty tej, którą wiódł z sobą na posiadłości Łokietkowe, już go nie rzeźwił i nie pocieszał. Uczucie to dawno było nasyczone i zgasłe.. Przed nim przyszłość stała tak straszna, że śmierć wydawała się wyzwoleniem.

W małych potyczkach, przy braniu miast, które

się broniły, wojewoda rzucał się jak szalony w wir walczących, narażał na strzały, szukał śmierci tej, i znaleźć jej nie mógł.

Inna mu była przeznaczoną, i taka może, na jaką zasłużył. W obozie pod Koninem, już miara goryczy jaką mógł wypić człowiek, zdawała się wypełnioną. Wojewoda czuł, że dłużej patrzeć na tę rzeź nie potrafi... Mówiono do niego nie sły-szał — zatopiony w sobie szukał sposobu tylko jakimby koniec swój przyspieszył.

Wieczór był późny, noc się zbliżała, pod szalasem wojewody ciemno się robiło, ze służby jego nikt nie przychodził, siedziała opodal tuląc się od deszczu pod wozami. W początku, gdy obóz rozbijano, czeladź chciała mu posłużyć, pytała o rozkazy, raz i drugi wojewoda ją rozpędził.

Siedział więc teraz samotny, znieczulony, obo-jętny, jakiś pół senny, pół martwy, zbolący.

Tymczasem Włostek, który miał nad nim litość, nie pytając już o rozkazy, o kilka kroków kazał namiot rozbić, łoże posłać i nocleg przygotować...

Ze wszystkich, co byli przy wojewodzie, on jeden najlepiej, najdawniej go znając, najśmiel-szym był, i gdy namiot rozpięto, zabezpieczywszy go sznurami od burzy — Włostek pod ciemny szalas wsunął się szukać pana.

Nie nie mówiąc ujął go pod rękę... Wojewoda wstał i nie pytając, dokąd go prowadzi, poszedł za nim. W namiocie rzucił się na pościel, i oczy

wlepiwszy w małą lampkę, którą Włostek zapalić kazał, pozostał bezwładny... Jedzenia odmówił, wody brudnej napił się trochę...

Porzucono go tam samym, bo nikt się do niego nie zgłaszał już, nikt — i widzieć nie chciał. Ze wszystkiemi zwaśniony był...

Wojewoda ze znużenia drzemać począł, lecz zaledwie sen zamykał mu oczy, jakiś przestach je otwierał, rzucał się — oglądał — trwożył...

Raz i drugi za miecz chwycił i odrzucił go precz. W tem zaszeleściło coś około namiotu, opłotki i zasłona się podniosła, wysoki mężczyzna obwinięty oponczą z kołnierzem stojącym, którego twarz była całkiem zakryta, ostrożnie wśliznął się do namiotu.

Wszedł, przystanął w progu, obejrzał się i widząc wojewodę, który za miecz ręką drżącą pochwycił — nie poruszył się tem, ani uląkł, pozostał obojętnym.

Wincz siadł na łożu.

Wnijscie to człowieka z zakrytą twarzą zdawało się go przestraszać — zwolna przybyły odrzucił kołnierz, który mu krył oblicze, zdjął czapkę na czoło nasuniętą. Wojewoda poznał Dobka Nałęcza, którego od ostatniej z nim rozmowy i rozbratu w Pomorzanach, nie widział.

Dobek nie był z niemi... Cóż on mógł robić w krzyżackim obozie?

Żywy to był i straszny wyrzut — ten czło-

wiek, który z nim jedną nie chciał pójść drogą, a teraz przychodził może urągać się jego spódnemu i upadkowi.

Dobek stał i patrzył — ale w wejrzeniu trudno było dobać, litość przeważała czy wzdarda — oburzenie czy miłosierdzie.

Postąpił krokiem ku łożu, ręce załamał i głowę zaczął potrząsać w milczeniu...

— Czego chcesz? krzyknął tem przedłużonem wpatrywaniem się w siebie rozgniewany Wincz. Czego tu chcesz? Głowę przyniósł pod miecz...

— A — choćby — odparł obojętnie Dobek... Głowę stracić to nic, ale cześć stracić, imię pokalać, ród pohańbić!! to gorzej...

Wojewoda milczał drżący.

— Czegom tu przyszedł? mówił dalej — spytać przyszedłem ciebie o rachunek... Czem ty to zapłacisz, do czego swoją zdradą dopomogłeś i co na twój kark i sumienie spadło...

Słuchaj.

Wojewoda chciał przerwać, Dobek nakazał mu milczenie.

— Słuchaj! Oto masz lik twoich czynów... Łęczyca spalona i łęczyckie spustoszone, Kalisz wzięty... Z nim opanowane Gniezno!! słyszysz ty to?... Gniezno... Zamek, kościół, grób patrona, skarbiec świętego, wszystko złupione... Nakło w popiołach, Sroda spalona, Pobiedziska zrównane

z ziemią, Kleck, Kostrzyń, Sieradz, Uniejów, Warta, Szadek...

A wsie, a kościoły, a klasztory, a ludzkich żywotów tyle, a zbiegłych tyle, co po lasach mrą z głodu, a krwawe łązy?...

Mało ci tego? Syt jesteś? Nie jeszcze? Czego ci więcej potrzeba?! Mów...

Jęknął Dobek.

Co się działo, gdy on to przerywanym mówił głosem, powoli jak krople wrzącej smoły na ciało nagie, rzucając te imiona na sumienie jego — co się działo z Winczem — Dobek sam nie mógł zrozumieć, oczy miał zakryte dłonią, a usta, które pozostały odsłonięte, ból wykrzywił.

Milczenie trwało długo, wojewoda nie odpowiadał nic.

— Mów — odezwał się Dobek... gdzie, dokąd ich jeszcze powiedziesz, i gdzie my z żonami i dziećmi przed tobą i przed niemi chronić się mamy?

Ja nie mam już domu ni łomu, w lesie, w jamie tulę nędzę moją... srom mój, żem także Nałęcz jako ty... bo nas ludzie palcami wytykają.

Gdy to mówił, wojewoda się zerwał na nogi — a Dobek cofnął mimowoli, sądząc, że z mieczem się nań rzuci.

Lecz Wincz spojrzał nań tylko gniewnie, ręce rozpostarł i głowę pochylił ku ziemi.

— Jeszcze się to nie skończyło, co się po-

częło — rzekł zadławionym głosem. Nie widzicie jeszcze końca — obróci się to inaczej... Z krzyżakami, z królem Janem, z Mistrzem... będę mówił, teraz z rozwścieczonym żołnierzem nie ma sposobu... Zdziczełi — słuchać nie chcą...

Dobek kiwał głową szydersko.

— A kiedyż słuchać będą? przerwał gniewnie — gdy jeszcze słabsi będziemy niż dziś! Albo to są ludzie? albo to chrześcijanie? Zdaliście siebie i kraj na katy... wzięli was — nie oszczędzą nas... myślicie, że miłosierdzie mieć będą?

— Nieskończone to! nieskończone! porachujemy się! zamruknał wojewoda — nie klnijcie mnie — ja krew i głowę dam, a złe to odrobież!

— Jak! czem! poczał Dobek. Wróćcie życie zabitym! odbudujecie miasta!.. Oddacie nam cześć straconą!!

— Czegoż ty chcesz odemnie? wrzasnął zniecierpliwiony wojewoda, czego?

— Chciałem ci tylko pokazać jedną z ofiar twoich — rzekł Dobek... Masz ją — patrz na mnie... Ja, dzieci i wnuki przeklinać cię będziemy, ciebie coś dla swojej pychy i zemsty nas wszystkich poświęcił i kraj do zguby poprowadził. — Przeklęty bądź szalony starcze... przeklęty...

Wincz słuchał tego wybuchu z głową spuszczoną, nie odparł słowa — obijały się o niego

te wyrazy, jak garść rzuconego piasku od żelaznej zbroi. Stał nieruchomy.

— Przyszedłem, dodał Dobek, aby kogo jeszcze czas ocalić i wyrwać z twoich rąk. Zabiorę Nałęczów — którzy warci są, aby ich ratować. Zostaniesz sam z miłemi krzyżaki...

Odwrócił się od niego...

— Nie waż mi się tego czynić! krzyknął wojewoda, postępując za nim. Zakazuje; niewiesz co jutro będzie — ja ich potrzebuję...

-- Abyś ich zdał wszystkich Niemcom!!

Wincz chciał coś mówić, rzucił obłąkanym wzrokiem i wstrzymał się...

Dobek spojrzał nań i wypadł z namiotu. Zawrócił się, trzymając zasłonę nad sobą.

— Jedyne ratunek, rzekł — chcesz? idź z nami. Wymkniemy się całym oddziałem z obozu, i pójdziemy precz... przebojem, gdy trzeba. — Wojewoda zmarszczył się i nogą uderzył o ziemię.

— I ja niepójde — i ty mi ludzi się nie waż odciągać — potrzebni będą. Powiadam ci — nie-skończona sprawa. — Potrafiłem zło uczynić, potrafię je naprawić — ale...

— Ale chcesz, byśmy ci teraz zawierzyli? zaśmiał się Dobek... Zapewne!!

I opuścił namiot.

Wojewoda, który aż do progu się za nim posunął — wstrzymał się tu, zwrócił namysliwszy i padł na łożo. —

Po chwili zawołał Włostka, który zawsze czuwał w bliskości... kilka słów mu szepnął... i odprowadził. Mimo znużenia nie mógł zamrużyć oka i oczyma szeroko otwartymi, patrzył na wnijsie do namiotu. — Czekał, Włostek zjawił się po długim oczekiwaniu.

Polecono mu było iść w ślad za Dobkiem i wstrzymać tych, coby z nim uchodzić chcieli. Lecz jak wojewodę nie bardzo słuchano, tak i jego sługa dziś dawnego miru nie miał w wojsku.

Na próżno więc szukał Dobka i chciał dójść gdzie się obracał, odprawiono go gburowato, nie dopuszczono do namiotów... — dopiero ze dniem obiecywał się dowiedzieć, czy kto z ich oddziału nie uszedł.

Wincz nie odpowiedziawszy na doniesienie, głowę spuścił, ręką dał znać i pozostał na łożu, ale sen mu powiek już nie kleił. — Rzucił się — walczył sam z sobą. — Przekleństwa Dobka teraz dopiero skutkowały, powtarzając mu się w uszach...

Wieczorny szmer powoli ustawał w obozie, deszcz też i wiatr przeszły, niebo się nieco oczyszczać zaczęło. Cisza nocy nadchodziła.

Wojewoda pragnął spoczynku — i znaleźć go nie mógł — przerzucał się z boku na bok — wstawał, siadał, kładł się, jęczał.

Z wiadra wody, które stało w namiocie za-

czerpnął kilka razy — jakby go wewnątrz paliło. —

W tem ściany płócienne namiotu poruszyły się, jakby albo wiatr niemi rzucił, lub nieświadoma ręka szukała wnijscia do niego.

Wojewoda, który wiedział ilu miał nieprzyjaciół, a po Dobku przez przekleństwo domniemywał się, iż na życie jego godzić mogą — schwytał mieczyk...

Stapanie ostrożne dało się słyszeć — zasłona uchylila — ktoś wchodził... Wincz stanął, zerwawszy się z mieczem w rękę...

Lecz w progu ukazała się cała okryta czarną zasłoną — niewiasta, która chwiejąc się i ślaniając, wchodziła nieśmiało, a ręce podnosiła, jakby szukała i potrzebowała podpory.

Choć twarzy jej nie mógł dojrzeć wojewoda — drgnął — mrowie po nim przebiegło...

Postawą i ruchami przypomniła mu żonę, Halkę jego...

Białą i wychudłą ręką zwolna podniosła część zasłony i odkryła twarz troskami zmienioną i wybladłą.

Ona to była.

Po tylu doznanych strapieniach, po walkach wewnętrznych, po tem życiu piekielnych mąk, wspomnienie, które mu to niewieście serce przynosiło, było tak odżywiającem, że na chwilę zapomniiał o wszystkim.

Z rozrzewnieniem rzuciwszy miecz, przybliżył się do niej...

— Ty tu... Halko moja...

Przywiązana żona, posłuszna niegdyś niewiasta, której znał miłość dla siebie, zamiast rzucić się w jego objęcia — cofnęła się krok.

Zdawała się mówić by się nie zbliżał.

Upokorzony Wincz stanął.

Halka mówić nie mogła jeszcze — ręką cisnęła piersi, oddychając ciężko, przysłaniała sobie załzawione oczy.

Duma nie pozwalała mu mówić więcej.

— Tak — ja — ja — przyszedłam raz jeszcze do ciebie — poczęła Halka cichym głosem. Przerdarłam się tu, mimo niebezpieczeństwa... Wincz... ratuj siebie i nas!!

Ponuro zamruczał coś wojewoda —

— Co, wam, babom mieszać się do spraw naszych — odezwał się wyraźniej. Co wy rozumiecie? Czekajcie... Jeszcze nie koniec...

Błysnął oczyma i tchnął ciężko, niewiedział co mówić.

— Nie czekaj końca — przerwała żona — jakież on być może? Zguba ostatnia...

Zapłakała... Wincz się burzył...

— Mówicie o ratunku! jakież teraz może być! Wojna nie skończona... Ja tu nie mam z kim gadać — Króla Jana nie doczekali się, Mistrz w Malborgu — to głupia dzicz. —

Halka obejrzała się w koło, jakby obawiając być podsłuchaną, załamała ręce.

— Porzuć ich — rzekła — odstęp...

— I cóż pocznę naówczas z sobą? szydersko zawołał wojewoda... Wybiją nas do nogi. Do kogoż się zwrócę?

Halka obejrzała się raz jeszcze. —

— Do króla Władysława! szepnęła — do naszego króla...

Wojewoda w gniewie i oburzeniu rzucił się aż w koniec namiotu.

— Ja? do niego? Miałbym się kłaniać, aby mnie nogą popchnął? temu, który mi srom wyrządził, którego nienawidzę... nigdy w życiu!!..

Żona patrzyła nań, dając mu się wyburzyć. Znała go zapewne i wiedziała, że pierwszemu wybuchowi potrzeba było dać ostygnąć...

Wincz zrywał się i poruszał gwałtownie, sam do siebie mówiąc — ona nie odzywała się, ści-gała go tylko oczyma.

-- Lepiej umrzeć, lepiej zginąć! zawołał.

— A co śmierć pomoże? poczęła zwolna Halka. Nazwią cię po śmierci zdrajcą, jako dziś zowią. Idąc do króla zmażesz tę zdradę w uniesieniu popełnioną...

Wincz ponuro zadumany stał, szarpiąc kaftan na sobie.

— Nie — nie może to być — odparł. Ja mojej głowy mu nie poniosę. On mi przebaczyć

nie może, to darmo, bo w waszych tylko móżgach roić się może takie pojednanie. To nie mężka rzecz... Nie — nie. Siebie znam — nie daruję mu nigdy krzywdy mej, jego znam — on nigdy nie wróci mi łaski... Mam ginąć...

Nieskończył.

— Król przebaczy — po chwili milczenia — głosem pewnym odezwała się Halka.

Wincz wpatrzył się w nią.

— Zkąd to wiesz?

— Wiem — na pewno — powtórzyła — przebaczy...

Wojewoda zbliżył się niespokojny.

— Mów — począł nagle — zkąd ty przybywasz? kto ci zlecił? mówisz to z siebie?

Wojewodzina wystąpiła trochę, jakby szukała w sobie natchnienia, co powiedzieć była powinna — co zamilczeć — odwaga w nią wstępowała, policzki się lekko zarumieniły.

— Jadę z tamtąd, rzekła — gdzie mogłam na pewno się dowiedzieć — o tem, co król myśli. Nie zlecono mi nic, bom nie wiedziała, czy się tu dostanę, lecz głową moją rękę — przebaczy!! Będiesz mu jak byłeś radą i wodzem... zapomni coś zgrzeszył — jedź ze mną — jedź... błagam.

Spostrzegła wahanie się męża i nalegać poczęła.

— Winczu mój — ty wiesz jak mi twoja cześć droga. Zaklinałam cię, byś nie wiązał się z niemi. Gniew zaślepił, krwawo zapłaciłeś za to. Jeszcze czas — jedź ze mną... wszystko naprawim...

Nadzieja ta niespodzianie błyskająca wojewodzie, w osłupienie go wprawiła — walczył z sobą. — Halka zbliżyła się doń i rękę kładnąc na ramieniu, łagodniejszym głosem poczęła po cichu.

— Obóz króla niedaleko — nie wiedzą o nim krzyżacy, upojeni swojemi łatwemi zwycięstwami. Spili się krwią. Król za niemi goni, ściga ich, czekając chwili tylko... Jedź ze mną... Noc czarna... Powrócisz przede dniem.

Wincz zaledwie mógł uszom swoim wierzyć — Łoktek więc był tak blisko? Ścigał krzyżaków? nie lękał się ich i czyhał na nich?

Szala mogła się przeważać!

Gdyby nie żona, której ufał, zaledwie by mu się to zdało możliwem...

Z ciekawością począł dopytywać o króla Władysława, lecz Halka nie będąc pewną nawrócenia, miała to pomiarkowanie, iż obrotów jego zdradzać nie chciała. Była w obawie, czy się mimowolnie nie przyczyniła też do jego zguby.

— Przyszłam tu po ciebie, aby cię z ich szpon wyrwać — rzekła — chcesz ze mną do króla... jedź... nie? — po cóż ci wiedzieć

o nim, abyś ścigał? a ja bym ci go na zemstę dać miała!!

Cofnęła się oburzona samą tą myślą, i usta zacięła.

Wyczekawszy trochę, Halka padła przed nim na kolana, poczęła ścisnąć jego nogi...

— Słuchaj — jedź ze mną. — Ja za twoje życie i bezpieczeństwo stoję. Powrócisz cały, czy się z nim ugodzisz, czy nie. Słowo mi dali na to... Słowo królewskie święte... jedź ze mną...

Przez myśl wojewodzie przeszło wszystko, co wycierpiał od krzyżaków, od swoich, przekleństwo Dobka, wyrzuty własnego sumienia; nagle z porywcznością taką, jakby sam siebie się obawiał, chwycił hełm i płaszcz, nie mówiąc. Halka żywo, jakby w nią z nadzieją nowe wstąpiło życie, poczęła mu pomagać do odziania się.

Niepotrzebowała już słowa, знаła człowieka... postanowił jechać. Serce jej biło radością niewymówną, oczy błyskały łzami szczęścia.

Wojewoda z gorączkowym pospiechem przypasywał miecz, brał i rzucał odzież... oczy jego latały po namiocie — ale nie mówił nic.

Nie wołał nawet Włostka, bo i jemu zwierzać się nie chciał...

Dogorywającą lampkę zdmuchnął... rękę podał żonie... Szli już z namiotu precz... nie spytał nawet, jak się z obozu wydobyć, jak do

króla dostać mieli, ufał żonie, a do stracenia — nie już nie miał... nie dbał o nic.

Gdy wyszli z namiotu... Halka zawahała się trochę, szukając kogoś oczyma, dwa nieruchome cienie stały opodal trochę... Szli ku nim...

Noc była czarna — wiatr, który się uspokoił, zrywał się znowu chwilami, przelatywał szumiąc nagle i opadał — niebo zakrywały chmury, pomiędzy którymi blade gdzieniegdzie gwiazdki ukazywały się i znikwały.

Halka szła śmiało... aż do tego miejsca, w którym postrzegła stojących nieruchomo ludzi...

Jeden z nich przystąpił do niej bliżej — i poznawszy ruszył przodem, wskazując drogę. Drugi pozostał za niemi w tyle.

Wojewoda, który nie pytał o nic i dał się wieść — mijając tę postać tajemniczą, co miała im towarzyszyć — rzucił na nią okiem i zdało mu się, że poznał jednego ze swoich... Tym tylko sposobem dawało się tłumaczyć — iż Halka przez obozowisko dostała się do jego namiotu.

Byli tu tacy, co jej pomagali... Wiodący ich przodem szedł ostrożnie, pomijał szalasy, a nadewszystko niedopalone ogniska, których światło zdradzić by ich mogło. — Szli ciągle przez stanowiska zajęte ludźmi wojewody... i niepotrzebowali przebywać krzyżackich, pomiędzy które ważył się nie było bezpiecznem.

Pochód ten pieszo po nocy, trwał dość długo, bo kilka razy krzyki i wrzawa niedalekie zmuszały ich wstrzymywać się, czekać, oglądać, aby nie wpaść w ręce ciurów i hałastry, której obozy pełne były.

Tak przedarli się w końcu na łąkę, wśród której spętane konie biedniejszych ludzi pasły się pod dozorem czeladzi... Ale ta spała znużona...

Z boku stały konie i ludzie... Spodziewano się, czy nie, wojewody, lecz wierzchowiec dla niego czekał osiodłany. Halka, która dawniej nieraz w szczęśliwych czasach mężowi towarzyszyła na lowy — dosiadła pierwsza podanego jej konia; dwaj ludzie towarzyszący im dotąd, skoczyli na siodła. W milczeniu, cicho, stępią wyruszyli od skraju obozowiska, łąką, po nad rzeźculką, ku czarnej ławie lasów, stojącej w dali. Przewodnik świadom drogi mimo nocy wiódł z pewnością taką, jakby z zawiązanemi oczyma mógł się tędy przedzierać.

Gdy tentent już w obozie dosłyszany być nie mógł, żywszym klusem puszczono konie. Wojewoda, jadący obok żony, z głową obwisłą na piersi — nie otwierając ust, cały w sobie zamknięty — dawał się prowadzić, nie okazując znaku życia.

Halka z odsłoniętą twarzą, którą wiatr sma-gał, w dal oczyma otwartemi napróżno patrząc,

jakby ciemności zwyciężyć chciały, spieszyła to pół słowy nagłąc wiodącego, to się zwracając ku temu, który jechał za niemi.

Poruszoną była i — dawała rozkazy, czuła się wodzem...

W lesie stało się straszliwie ciemno i droga była prawie nie do rozpoznania. Tu już przewodnik najlepszy niemógł nic, lecz stał za niego instynkt zwierząt; konie czuły miejsce, z którego wyszły i gdzie ich reszta pozostała. Puszczono je swobodnie...

Drożyną ciasna nie dozwalała inaczej jechać jak gęsiego, i żona puściła wojewodę przed siebie, sama zostając w tyle...

Zdawało się marzącemu o tem, co się stało wojewodzie, niepodobieństwem, ażeby w tak niewielkiej odległości od Krzyżaków Łoktek miał się znajdować. Nieograniczone zaufanie, jakie w żonie pokładał jedne, go uspakajało...

Myślał będzieli możliwem dotrzeć do Łoktka i nim zadnieje powrócić niepostrzeżonemu do namiotu?...

Nie pytał jednak, nie mówił nic — czekał...

W tem rzenie konia dało się słyszeć zdala, a te, na których jechali, odpowiedziały na nie wesoło. Nic jednak jeszcze widać nie było, ciemności leśne ich otaczały, a puszcza była podszyta i gęsta...

Nie rychło — poczuli dym w powietrzu, to było drugie zamię zbliżania się do ludzi... na-ostatek błyszczą ogniki jakieś z pomiędzy gałęzi. Jadący przodem zwolnił kroku.

Zatrzymali się na brzegu lasu... U nóg ich w dole była dolina nad rzeczką, rozlegająca się szeroko, w której domysłać się było można obozu.

Jadący przodem poskoczył, szukając straży obozowej, która tuż się znalazła. Poszeptali z sobą.

Stępią i po cichu posuwali się ku dolinie...

Cicho leżał obóz uspiiony na pozór, lecz w istocie czuwający i jakby przyczajony. Ludzi pieszych snuło się wielu od namiotu do namiotu, we zbrojach, przy mieczach pilnujących porządku.

Nie było to owo wrzawliwe, a pijane obozowisko krzyżackie, ale coś na kształt zasadzki, wyczekującej chwili sposobnej aby się rzucić na nieprzyjaciela...

Wojewoda kapturem przystonił twarz... jechał niespokojny, oglądając się ku Halce, która, jak tylko droga pozwoliła, zrównała się z nim, stając do jego boku.

W pośrodku plac był obszerny, obwiedziony sznurem — na nim duży namiot szary przysadzisty i jak kilka grzybów z ziemi wyrosłych, trochę mniejszych po bokach...

Tu straże gęściejsze chodziły... W namiocie

wielkim przez płótno widać było światelko we wnętrzu.

Przewodnik zsiadł, a za jego przykładem wojewodzina zsunęła się z konia. Naprzeciw nim szedł już słusznego wzrostu mężczyzna, któremu kobieta szepnęła słów parę i ciągnąc męża za sobą pospiesznie, podeszła z nim do namiotu.

Dawał z sobą czynić co chciała... nie miał woli...

Towarzyszący im ludzie pozostali w pewnem oddaleniu...

Gdy tak czekali u drzwi namiotu, wojewodzina zbliżyła się do męża, chwyciła rękę jego i do ust ją przykładając, zawołała poruszona, głosem, w którym łkanie słychać było...

— W twoich rękach los nasz! cześć nasza...
życie... wszystko...

W tem podniesiono opłotek, światło przedarło się z wnętrza, i na jasnym tle, wystąpiła mała, znana wojewodzie, postać króla, który sam wychodził ku niemu do progu.

V.

Milczący ku sobie się zbliżali; król taki, jakim bywał w najcięższych życia chwilach, kamienny, nieporuszony, zdrętwiały a silny — wojewoda zburzony, niespokojny, upokorzony, roz-namiętniony walką z sobą samym, nie pewien, co pocznie — przybity i dumny razem.

Od jednego słowa, od brzmienia jego głosu zależeć mogło wszystko...

Wincz też nie spieszył się przemówić, a król patrzył nań cierpliwie i czekał. Mierzyli się oczyma. Łoktek spokojem swym zwyciężył go, wojewoda spuścić wzrok był zmuszony.

Nie mogąc doczekać się od niego słowa, bo Wincz jak winowajca stał z głową zwieszoną, niemy, oczów już nie śmiejąc podnieść ku niemu; król szepnął cicho, głosem, w którym boleść mężna brzmiała i nieulekniona.

— Nie tak my z tobą spotykać się byliśmy powinni — nie tak!..

Z piersi Wincza wyrwało się coś niewyraźnego jak łkanie i poplątane wyrazy, bezładne — raczej jęk boleści i upokorzenia.

Łoktek rękę ku niemu wyciągnął.

— Przyszedłeś tu, zawierzyłeś mi, toś już wielki krok uczynił — z Bożą pomocą i reszta się dokona.

To mówiąc, począł król iść ku środkowi namiotu skromnie i prawie ubogo, jak zwykle urządzonego — wojewoda włókł się za nim.

W tém podniósłszy oczy zdala spostrzegł stojącego w rycerskiej a pańskiej postawie, lecz z łagodnym twarzy wyrazem młodego Kaźmirza, i — pobladł na widok jego.

Przypomniął mu upokorzenie, on, co był zajścia całego przyczyną.

W téj chwili, oblany krwią, która mu na twarz wystąpiła, wojewoda możeby się był cofnął — gdyby królewicz z wyciągniętą doń ręką nie przystąpił.

Nie rzekł nic, lecz pokazał, że nie pamiętał winy i gotów był ją przebaczyć.

Wojewoda, który czuł się winnym, dobrocią obu złamany został, skłonił głowę — okazując się na wszystko gotowym, powolnym.

— Słuchaj Wincz — odezwał się król, gdy młody pan odstąpił nieco, nie chcąc się mięsząc

do początku rozmowy, której pozostał świadkiem.
— Słuchaj Wincz, na rany Zbawiciela, na miłość dla téj korony, którą mi zdobyć i połączyć pomagaleś; na dawne twoje przywiązanie dla mnie, — zaklinam cię — krok twój nieszczęśliwy napraw!!

My—tu wskazał na syna—zapomniemy o wszystkim — ja ci na to uroczyście przysięgam! Ratuj, nie mnie, nie nas, ale Polskę. — Jam dla téj korony nie jeden raz życie niósł i dziś je dać gotów jestem! Ty jęj nie gub i nie podawaj w ręce obcym...

Wincz rękę położył na piersiach i wyjęknął.

— Panie mój!... Głosu mu zabrakło.

— Widzisz, co ci złoczyńcy, z którymi sprzymierzyłeś się, czynią z nami. Doświadczyłeś już ich — mówił król. Zniszczyli tę twoją i moją Wielkopolskę, stratowali ją, spustoszyli, złupili.

Nikomu oni nie przebaczą — ani wam! Zgubicie kraj, zginiesz ty!

— Panie! miłosierny Panie! — poczał wojewoda—ah! zawiniłem... aleś ty mnie starego w samo serce ubódl, upokorzył i znieważył... Oszalałem z bólu.

— Ja? czém? — przerwał król. — Wincz, ty sam zważ i sądz! Ja sam gotówem synowi miejscą ustąpić, a tyś chciał, abym ciebie przeniósł nad niego? Przecież on, dali Bóg utrzymać ją na skroni, będzie koronę nosił; a żeś ty przyszłemu

królowi rządów musiał ustąpić — byłoż to upokorzenie?

— Wojewodo — odezwał się Kaźmierz zdala, głosem łagodnym, szanowałem cię i byłbym rad twych słuchał jak ojcowskich. Żli ludzie podbechtali na mnie... i oni są sprawcami niesnaski. Ja was uniewinniam...

W tém król pomilezawszy dorzucił.

— Słyszysz! Wincz... Zawdzięczymy ci oba — powracaj do nas — powracaj...

Wojewoda tchnął z głębin piersi.

— Panie — szepnął wahając się — jakże to dziś się da zrobić? Jam w ich rękach — niestety! Chcieć się wyrwać, wyrzezać nas do nogi zbójcy ci... Ze mną ród mój niemal cały...

Król przysłuchując się, powoli począł przybliżyć do niego.

— Byle najmniejsze podejrzenie powzięli, tego im potrzeba — ciągnął dalej wojewoda — osaczają nas jak zwierza w lesie, siły nasze im nie sprostają — zginiemy wszyscy... Co komu po tém!

— Zgubić się byłoby nierozumem — przerwał żywo Łoktek — tego ja od was nie chcę, ani myślę na to narazić. Owszem, pozostańcie z niemi, idźcie... Nie wydawajcie się z tém wcale, co w sercu mieć będziecie i myśli.

Ja — ścigam ich od dawna, krok w krok dążę za niemi — blizka jest, zdaje mi się chwila,

gdy się rzucę na nich, wtedy kiedy się mnie najmniej będą spodziewali.

Jeżeli nie do walnej bitwy, której ja im wydawać nie myślę, przyjdzie do rzezi i pomsty!!

Gdy zawre... naówczas ty, bądź pogotowiu; napadnijcie na nich wraz ze mną, z drugiej strony, a sprawim im łaźnię, iż noga ich nie ujdzie ztąd.

Zapłacą za krew ziemian moich i chłopków!

Król mówiąc to, zadrgał cały.

— Zapłacą! — powtórzył zimno i dobitnie — zapłacą!

Wojewoda podniósł powoli oczy, w króla się wpatrzył i głową dał znak przyzwolenia na myśl jego. Łoktek mówił dalej.

— Chcieli mnie zniszczeniem ziemi mojej przerazić i odstraszyć, okrucieństwem zmusić, abym im oddał na pastwę Pomorze, z czemś więcej jeszcze i pokłonił się... — ale nie dopną czego chcieli. Ząb za ząb, będę i ja okrutnym, nie przebaczymy ani płaszczo białym, ani złotym łańcuchom, ani panom gościom co na nas chrześcian jak na łowy przyjeżdżają.

Wstrząsnął się cały król, lecz natychmiast ostygać począł.

— Chwila blizka — mówił dalej Łoktek patrząc na wojewodę zdumionego i jakby niedowierzającego...

— Ufam w Bogu moim, nie może on dopuścić

aby się bezkarnie pastwiono nad narodem chrześcijańskim. Pomścimy krzywdy nasze, a tych żołdaków zgnieciem...

Nie będziesz czekał długo, pewien jestem! Padnę na nich gdy o mnie wiedzieć nie będą... ani się spodziewać; ale ty, wojewodo, pomocą mi być musisz... W ich krwi zmażesz winę twoją.

Król zamilkł, wyciągając go na odpowiedź.

— Miłościwy panie — począł Wincz, — Bógdaj się wasze zisziło proroctwo... — Niech się stanie jakoś rzekł... Lecz, lękam się ich przemocy, na rozdzielonych trzeba wpaść.

Liczbą i zbroją przemagają nad nami. Jak tu się porwać na te kłody żelazne chodzące, od których nasze strzały odpadają bezsilne... A tyle ich zwlokło się tu na łupieżę.

— Nie frasuj się — odparł król, — wybrać godzinę—moja rzecz. Opatrzę ją, ale na główny oddział muszę się kusić, aby najdostojniejsi dowódcy głowy położyli... po ciurach mi nie... Sciągnę ich łatwo. Komturów i grafów ich łaknę — i będę ich miał....

Oni sami nauczyli mnie, że bez szpiegów wojny nie ma.

Znajdę ich w obozie, snują się koło niego, idą za nim... Patrzę i z oka ich nie puszcze.

Ty, czekaj gdy ja pocznę, a posłyszysz surmy

nasze... rzucić się na obrzydłych siepaczy — życia nie dawać nikomu...

U mnie też garść jest żołnierza, który ich niemieckiemu nie ustąpi i tak okuty, a dzielniejszy, obrotniejszy... Mam też Węgrów, co i Czechom nie zejdą z pola...

Uśmiechnął się król...

— Chwili tylko muszę wypatrzeć.

Łoktek dokończywszy, patrzył jeszcze na milczącego. — Obie ręce swe silne, żyłaste, namulane wyciągnął ku niemu...

— Dajże mi słowo, Wincz, mnie i synowi.

Tu Kazimierz się zbliżył, rękę wyciągając także.

— Wojewodo, rzekł — zapomnijże raz i wróć do nas... Uratujmy Polskę... pomóż nam do tego... Prosimy cię oba.

Wojewoda był poruszony, nisko skłonił głowę, obie ręce skrzyżował na piersiach.

— Uczynię jak rozkazujecie, rzekł krótko. — Uczynię, tak mi dopomóż Boże. — Zawiniłem, przebaczyliście krewkości mej, niech Bóg wam to płaci... Jam wasz — wasz...

Rozrzewnienie w mowie czuć było. Złożył palce dwóch rąk na krzyż, wyciągnął je i jak znak krzyża ucałował, składając nań przysięgę...

— Tak mi pomóż i zbaw Boże!

Król wziął ze stoła stojący krzyżyk i okazując go, zawołał podniesionym głosem:

— Wincz, znasz mnie nie od dziś! Ja ci też poprzysięgam przebaczenie i łaskę moją zapewniam... Włos nie spadnie ci z głowy. Ura-tujesz koronę tę... Z tobą ja ich pokonam, wy-pędzę i krwawo zapiszą swój powrót...

Kazimierz przystąpił też żywo i wojewodę ściskać zaczął, który mu do nóg się pochylił.

Gdy w ten sposób umowa uroczyście zawartą została, król korzystając z czasu żywo rozpyty-wać począł o siły krzyżaków, o dalsze ich za-miary, dokąd ciągnąć myśleli: czy się mieli znów ku Kaliszowi zawrócić?

Wojewoda w niewielu rzeczach mógł króla objaśnić — bo to wiedział tylko, na co patrzył, a zresztą, niemcy się przed nim taili i milczeli.

Miedzy wielkopolanami a niemcami, chociaż razem szli, coraz mniej było porozumienia i zgo-dy. Wojna, w której oni często napastowanych i krzywdzonych braci swych bronić usiłowali — coraz bardziej z obu stron rozjątrzała. Musiano czasami rozsuwać obozowiska aby, do krwawych zajęć nie przyszło.

Gorącej krwi Nałęczę często się burzyli, do-bywali kordów, a niemcy ufni w swą siłę, na-cierali na nich kupami i starszyzna wdać się musiała; tak ich rozerwać było trudno.

Nie jeden trup w nocy z rozplataną głową legł potem i znalazł się nad ranem pod polskie-mi lub niemieckimi namioty, co go ze dniem

straże za nogi wywlekać musiały, aby nie widzieli wszyscy... Znikali ludzie, a nienawiść rosła.

Marszałek, wedle opowiadania wojewody, coraz mniej miał dla niego względów, przyjmował go chłodno, niezapraszał nigdy, a gdy się wśród ich uczty zjawił, okazywano mu, nie kryjąc się, jak go sobie wazono mało.

Ile razy zapytywał wojewoda o pochod dalszy lub chciał obronić swoją ziemię od najazdu, zbywano go szyderstwami i ogólnikami. Nie zwierzano mu nic, i nie słuchano w niczem.

Król słuchał tych skarg z pociechą wielką, widząc z nich, iż wielkopoleanie na duchu byli przygotowani do odstąpienia krzyżaków. Skinienia tylko na to było potrzeba.

Wojewoda, który tejże nocy musiał do obozu powracać, zabrał się żegnać króla i królewicza, nie tak jak ich witał z obawą, ale po staremu do kolan im się zginając. — Król ścisnął go, Kaźmirz z uśmiechem ręce wyciągał.

Wiedli go tak ku wyjściu.

— Nie zrywaj się sam — dodał Łoktek — nie wydawaj się z niczem, czekaj aż na nich uderzę, a posłyszysz surmy moje... Znasz je, bo cię nieraz do boju wzywały. Nie grają one łagodnie, krzyczą, bo do zemsty wołają!!

Marszałkowi kłaniaj się do chwili ostatniej, aby ci ufał...

Nie będziesz już czekał długo, mam ufność w Bogu — niech on cię szczęśliwie prowadzi.

Wojewoda wyszedł z namiotu jak upojony, odrodzon, oczyszczonym się czując—inny wcale, niż tu wchodził.

Powietrze do oddychania zdało mu się lżejszem.

O krok od progu czekała nań niespokojna żona, podszedł ku niej i objawszy rękami całować, począł z rozrzewnieniem wdzięcznem.

— Bóg płąć! szepnął — tobiem to winien — wierna moja, pocziwa Halko... Stało się, jakoś ty u Boga wymodliła i dobrze się stało...

— Wracasz tam? zapytała wojewodzina, widząc, że chciał iść i oczyma koni szukał.

— Muszę, natychmiast — rzekł krótko wojewoda. — Mam rozkazanie pańskie i tam najpotrzebniejszy jestem.

— A ja? zapytała nieśmiało żona.

Wincz ręce opuścił — zamyślił się.

— Nie — teraz do naszego obozu wziąć cię nie mogę — Do domu wracać niebezpieczno... któż wie, jakiej zemsty i kto na mnie szukać zechce? Musisz tu zostać...

— Do klasztoru? spytała Halka.

— Alboż ci psi klasztory szanują, wyrwało się wojewodzie. Nie — zostań gdzieś była, połączemy się wkrótce, król ci opiekę da.

— Kto się opiekował tobą?... spytał w końcu.

— Wielu dla mnie było pomocą, odparła wojewodzina, a najlepszym przyjacielem Floryan Szary ze Surdegi — ten co ma moją powinowatą za sobą.

— Szary? Ten u mnie bodaj w Pomorzanach od Hebdy posłem był? Tak — li? niemówił o tem?

— On jest, on —

Wojewoda się obejrzał.

— Gdzież go szukać? rzekł.

Wojewodzina zwróciła się, czując, że ten opiekun niedaleko być musiał, bo on ją z jednym z Nałęczów do męża wodził.

W istocie Floryan stał o kroków kilka. Wincz podszedł ku niemu, gdy go wskazała.

— Żonę wam w opiekę oddaję, odezwał się, rękę doń wyciągając. Bóg da, kiedyś wszystko dobro odwdzięczę.

Floryan skłonił głowę, dając znać, że przyjuje, co mu powierzono.

— O wdzięczności to tam niema co mówić — odparł rażno. — Czyni się, co człowiek powinien nie dla niej, a dla miłości Bożej i ludzi.

Nie troskajcie się o panią waszą. Strzedz jej będziemy — a teraz chcecieli być u siebie pod namiotem, nim Niemcy się pobudzą — jedźmy. Spieszyć trzeba.

Żona rzuciła się Winczowi na szyję i tak długo trzymała go w uścisku, aż się z niego na

ponowne napomnienie Floryana sam wyrwać musiał.

Natychmiast we trzech siedli na świeże konie i klusem popędzili ku lasowi. Nocy jeszcze stało dosyć na przebycie drogi przed porankiem, lecz do obozu ostrożnie się zbliżać było potrzeba, ażeby Niemcy wycieczki tej nie wyszpiewowali.

Szło teraz wojewodzie o to, aby najmniejszego nie ściągnąć podejrzenia. Mściwy człek równie pragnął się odplacić za lekceważenie i pogardę krzyżakom, jak wprzód na króla chciał mścić się npokorzenia swego. Dusza mu się radowała na tę myśl, iż dumnych mnichów rzezać i gnieść będzie bez litości.

Dla króla, który się tak łaskawym dlań okazał i przyjął go jak marnotrawnego syna z miłością ojcowską — wdzięcznością pisał... Nie npokorzył go on, nie poniżył — przytulił owszem. Wszystko więc zatrzeć się mogło, a Dobek zuchwały miał się przekonać, że wojewoda Nałęczów nie zgubił i nie zbezcześcił.

Znowu przyszłość lepsza uśmiechła się wojewodzie, ale ciężkie jeszcze przejść musiał koleje, nimby dobił się do celu.

W tych myślach milcząc, przejechał las ze swemi towarzyszami. Wyjechali na równinę, wśród której zdala pod miastem obóz się rozpościerał.

Noc była jeszcze, lecz od strony wschodu niebo zaczynało przybierać tę barwę płową, która

poprzedza świtanie. W dolinie ognisk jeszcze widać nie było, ruchu nie słyszeć — konie pasły się na łące, a ciury nadedniem spały mocniej jeszcze, tak że przejeżdżający minęli ich niepostrzeżeni. Szary zatrzymał się tu i wojewodę pożegnał.

Dalej nie był mu już potrzebnym.

— Pomnij przyjacielu, com ci zwierzył — szepnął Wincz.

— Spokojni bądźcie — to sprawa sumienia — rzekł zwracając Floryan.

Wjazd do obozu, skutkiem pośpiechu i nieuwagi, nie obszedł się bez wypadku. Wojewoda zapędziwszy się trochę za daleko na prawo, zamiast wprost wjechać między swoich — znalazł się wśród krzyżackich namiotów. Straże około nich ospałe krążyły. Poskoczył zaraz Niemiec i za uzdy konia mu pochwycił.

— *Wer da?*

Towarzysz wojewody i on sam poczęli po polsku łajać, co sprawę pogorszyło. Wszczęła się wrzawa, wojewody znać nie chciano, Niemiec uzdy konia jego nie puszczał i z mieczem się nań porywał. W namiotach pobudzili się inni i przybiegali. Otoczono ich kołem.

Cały niemal obóz zatrwożony się zrywał, a marszałek Teodoryk, który przededniem wstawał i już we zbroi był, uadbięł z dwoma swemi kompaniami.

Wojewoda zdala już poczał doń wołać z wymówkami i skargą na jego strażę, że znać nie chcieli, kto był.

Na twarzy Teodoryka widać było pewne zdumienie i nieufność.

— A gdzieżście po nocy bywali? — odezwał się.

— Obóz przecież mój musiałem obejrzeć, aby się nieporządki nie działy. Ludzi mi co noc ubijają.

Marszałek podjechał ku niemu.

Zaczynało dzień zwolna, wpatrywał się w wojewodę, marszczył brwi.

Podjechali tak razem ku przodowi obozu, gdzie namiot czerwony stał i ludzie się już kręcili, a ogniska zapalały... Marszałek to mileżał, to patrzył z natężeniem na Wincza i na konia jego, po którym poznać było można, iż nie małą objazdkę około obozu odbył, ale dość długim biegiem był shasany.

Przed namiotem zsiadłszy Teodoryk zaprosił do siebie wojewodę, który konia oddał i razem z nim wszedł do pustej teraz sali, w której tylko stół wczorajszy z obrusem pomiętym i zastawionym na nim kuflami widać było. Marszałek względniejszy niż zwykle wprowadził do swej sypialni wojewodę.

Tu jeszcze lampka płonęła nocna przed obrazem złocistym matki Boskiej.

Usiedli.

— Musieliście po za obóz robić wycieczkę — Spytał bystro nań spoglądając marszałek, bo koń wasz dobrze był zmęczony...

Wojewoda ramionami poruszył.

— Tak jest, rzekł on, nie mylicie się. Od wczoraj niespokojny byłem. Doniesiono mi o królu krakowskim w bliskości, a jeżeli kto, to ja nie spodzianej jego napaści się lękam...

— I mnie o nim donoszono — przerwał żywo Teodoryk — wiecie co więcej?

— Chciałem się lepiej wywiedzieć i rozpytać — mówił Wincz. Wasi niemcy z naszym ludem rady sobie nie dadzą, i z nich język nie dobry... Napłoszą chłopą, to im prawi, co ślina do ust przyniesie.

— Cóżście się dowiedzieli? coraz niespokojniej badał Teodoryk.

— Przynajmniej wiem napewno — dokończył wojewoda — że tak prędko się niema czego obawiać. Łokieć zasłyszawszy o waszej sile rzucił się w stronę i ruszył w lasy. O wydaniu bitwy ani myśli.

Z wlepionemi w mówiącego oczyma, jakby był chciał zbadać go do głębi duszy, słuchał Teodoryk. Wincz spokojnie i powoli ciągnął dalej.

— Obawy nie ma żadnej, dlatego też jeździł aż do osady znanej mi w lesie, abym języka dostał.

— Ja — przerwał Teodoryk — radbym się wreszcie spotkał z nim — i pobił go — a gdyby się udało obu wziąć, bo słyszę i syn z nim jest razem.

Wincz głową poruszył.

— Czy syn jest z nim — nie wiem, rzekł, ale że go w bitwie nie będzie, to pewna. Choćby on chciał, ojciec go nie puści, osłania go i strzeże, bo to jedna rodu nadzieja.

Marszałek przeszedł się po namiocie.

— W którą się król udał stronę? zapytał.

— Ludzie dobrze nie wiedzą, bo on ostrożny jest, mówił Wincz — lecz z pewnością zdala od nas trzymać się będzie. Siłę ma za małą, mierzy się z wami nie chce.

— Dla tego jabym właśnie rad się z nim spotkać — zakończył marszałek.

Rozmowa przerwana została wejściem Komtura Elbląskiego, który z ukosa na wojewodę spojrzawszy, coś szepnął Teodorykowi i oddalił się.

— Na waszych nieswornych ludzi są skargi nieustanne — odezwał się po wyjściu jego marszałek.

— Ja też skarżyć bym się powinien, ale że próżno pono domagać się u was sprawiedliwości, milczę, rzekł wojewoda. Obchodźcie się z nami gorzej, jak z najemnikami.

Teodoryk zwrócił się doń słuchał, i wpatrując się znów pilno.

— Z obu stron nam trudno, rzekł utrzymać ład między żołnierzem, co dawniej bić się był nawykł z temi, z którymi dziś idzie razem.

Wojewoda westchnął i wstał, pokłonił się Teodorykowi, który długo za nim patrzył — i wyszedł.

W chwilę potem Komtur Elbląski powrócił powołany.

— Nocą jeździł za obóz — rzekł marszałek żywo — powiada, że śledził obroty Łoktka, że języka szukał... Podejrzana rzecz...

Komtur nie zdawał się dzielić tego przekonania i pogardliwie dodał.

— Nie może nic, choćby chciał...

— Zbiedz mi z ludźmi i skryć się w lasy gotów — odezwał się Teodoryk. On jak on, ale jego żołnierz szemrze, kłótnie nieustanne, wiem że zburzeni są bardzo.

— W najgorszym razie — odparł komtur — jeżeli się ruszą, otoczymy ich i łatwo się pozbędziem...

Marszałek głową począł okazywać, iż tego nie chciał.

— Wy wiecie, rzekł — króla Jana musimy poszanować i nie narażać mu się. Znacie go, ma rycerskie swe fantazye, nie lubi, gdy na raz wiele ludzi pada ofiarą. Pamiętacie jak nam kilka tysięcy pogan chrześć kazał, gdyśmy ich w pień

wyciąć chcieli, Zowie się królem polskim, gdybyśmy ten oddział, co się niby wojskiem zowie, byli zmuszeni...

— A! odparł Elbląski — znacie króla Jana, i mówicie to? W najgorszym razie ofiarą grzywien zgodę byśmy przywrócili...

— I grzywien szkoda — odezwał się marszałek, musimy wykupić Pomorze, opłacać najemnego żołnierza, żywić i obdarzać gości.

— Skarbiec zakonu dzięki Bogu! nie próżny — dodał komtur.

-- Na wojewodę każcie mieć oko — począł po chwili Teodoryk. Nie wierzę mu, źle z oczów tego człowieka patrzy, a z tego co zyskał rad być nie może...

Zlećcie obożnym, aby ich zawsze w pośrodek brali — zakończył marszałek — bezpieczniej tak będzie.

Rozeszli się, gdyż dzień poczynął być wielki.

Wojewoda w namiocie swym rzucił się na posłanie, choć myśli mu głowę opłotły ciężkie mimowoli usnął twardo...

Krzyżacy nie ruszali dnia tego, bo i niewiedzieli, gdzie się zwrócić, splądrowawszy już znaczną przestrzeń kraju. Celem ich teraz było, króla, o którym słyszeli ciągle, o którym im to tu, to owdzie opowiadano, spotkać i w walnej bitwie pokonać.

Szukali go, znaleźć nie mogąc, a czując że siedł za niemi. Gdy o nim oznajmiono, zwracali się na wskazane okolice i zastawali tylko ślady obozu z pogasłemi ogniskami.

Dzień ten cały zszedł na wysyłaniu oddziałów w różne strony na zwiady, na wycieczkach po wsiach, które jeszcze ocalały.

Szalał najemnik krzyżacki w tak nielitościwy i barbarzyński sposób, iż historia zapisała tę wyprawę ich na nieszczęśliwą ziemię naszą krwawemi głoskami.

Komtur Elbląski, gdy przy zdobyciu Sieradzia, wchodził do miasta wedle obyczaju nie przepuszczając nikomu, przeor zakonu dominikanów, który wprzód w Elblągu był i znał dobrze niecnego Hermana, padł na kolana przed nim, błagając go, aby niewinnych ludzi mordować nie kazał, klasztor i kościół ich od grabieży ocalił, dokąd ludzi się wielu pod opiekę krzyża tuliło.

— Oszczędź domy Boże! wołał ze łzami.

Komtur z konia spojrział szyderczo na biednego mnicha i urągając mu się, krzyknął zepsutym językiem prusaków:

— *Ne prest!* (nierozumiem).

Wpadli potem na kościół i klasztor, który poczynając od ołtarzy złupili ze szczerem. Dominikanów w kościele odarto ze sukien do naga, ko-

biety i mężczyźni poobrażano, zabijano, pastwiono się.

Komtur patrzył na to, nie hamując wcale tłuszczy swej.

Można sobie wystawić co się działo naówczas z polskim oddziałem, który na to patrzeć musiał i być tych zbrodni niejako współwinowajcą.

Z każdym też dniem rosła w Nałęczach nienawiść do krzyżaków i do wojewody, który ich wydał w te ręce, niewinną krewią skalane.

Wincz potrzebował choć iskierkę nadziei dać swoim, aby mu się nie rozbiegali, gdyż codziennie liczba się zmniejszała.

Myślał, w jaki sposób to mógł uczynić, gdy zbudziwszy się ze snu, ujrzał Włostka przed sobą, oznajmującego mu z obawą i wahaniem, że Dobka w obozie njęto...

Nie lepiej na rękę nie mogło przypaść wojewodzie...

— Przywieść go do mnie — rzekł — a niech ludzie bardzo o tem nie głoszą...

Z dumą i obojętnością na los, jaki go mógł spotkać, Dobek przyprowadzony do namiotu, wszedł i stanął milczący.

Po wczorajszej rozmowie wieczornej, mówić już nie miał co...

Gruchnęła wieść po obozie, że Dobka pochwycono, gdy ludzi do ucieczki namawiał. Wielu

i przyjaciół jego kupić się zaczęło groźnie, lekając jakiegoś sądu i — okrucieństwa...

Mrucząc stali długo gromadą u namiotu, u którego Włostek straż odprawiał, nikogo nie chcąc dopuścić.

Co chwila spodziewano się rozmowie końca i ukazania się gniewnego wojewody... Tymczasem, Dobek pozostał z nim razem tak długo, iż przyjaciele jego, w końcu znużeni oczekiwaniem rozchodząc się zaczęli...

Późno już nad wieczór Dobek pokazał się znowu, swobodny pomiędzy swemi. — Spojrzeli nań, milczący był, lecz spokojny i niemal wesół.

Ci, którzy ochotę mieli razem z nim ucבודzić, otoczyli go naciskając...

— Wiecie co? odparł im — zamiast co wy ze mną byście iść mieli, namyśliłem się, zostanę z wami... Poczekamy...

Mnie się zda, że tu dożyjemy lepszego czasu.

Zdumieni patrzali nań — pomrukiwał jedným okiem.

— Już to wierzajcie mi, dodał, że ja na plewę się nie dam wziąć. — Trzeba do czasu zność tu biedę i upokorzenie, aby się nam one sówicie opłaciły...

Rękę na piersiach położył.

— Zawierzcie mi — będzie lepiej... Czekać — hasło! Ja z wami. — Macie zakładnika...

Ciepli go dopytywać, zamknął im usta.

— Gdy pora przyjdzie, będę gadał — rzekł
teraz nie czas...

I na tem się skończyło...

Nałęczę zbiegać przestali.

VI.

Szły zastępy krzyżackie po Kujawach jak błędne, szukając, coby jeszcze łupić i palić mogli...

Dawano im znać o Łoktku to z boku, to za niemi, to w pobliżu, — to koło Radziejowa, to koło Brześcia.

Dwudziestego szóstego Września jesiennym wieczorem, nadciągał mistrz znużony i wojsko ociężałe pod Blewo, małą osadę, Królewszczyznę, którą też Płowcami zwano, bo wieść niosła, że tam niegdyś Połowców w niewolę pobranych osadzono na królewskiej ziemi. Z jeńców tych zbiegła znaczniejsza część i kilka chat zaledwie leżało na równinie nagiej.

Marszałek Teodoryk, bacząc, że tu się wszystkie oddziały wygodnie położyć mogą, — kazał przy Blewie obóz rozkładać.

Mila była tylko od miasteczka Radziejowa, gdzieby jego ludzie woleli byli stać, aby i osadę zaskoczyć i lepszy znaleźć przytułek. Tu w dzikiem polu, gdzie nigdzie nawet drzewiny nie było, a i o wodę trudno dla tylu koni — szemrano na nie wygodne legowisko.

Lecz z Teodorykiem się spierać nawet Wielki Komtur nie śmiał.

Zygard, Komtur Koprzywnicki, gdy się już rozkładać miano, syknął, obejrzawszy się i do marszałka pobiegł konno. —

— Mamyż tu noc spędzić na tej pustyni, w nizinie mokrej... gdzie ani dobrej paszy, ni wody niema...?

Staniemy tu, każcie rozbijać namioty, odparł marszałek zachmurzony. Mam powody, dla których zebrać tu muszę nasze siły — Ottona z Luterberga czekam i tych, co na Brześć poszli, nie trzeba się rozpraszać. Chociaż mi wojewoda ręczy, że król daleko i że o nas nie myśli a uchodzi — ja nie zupełnie temu wierzę. Oddziały nasze porozdzielane... Tu się zgromadzić potrzeba.

Spojrzał marszałek na mówiącego i wejrzeniem tym pokazał mu, że rozkaz nie może być zmieniony.

Zygard zamilkł. —

— Zdaje mi się, że obawa co do króla krakowskiego próżna — odparł cicho, długo pomilczawszy. — Radby uniknąć spotkania to jawna

rzecz, a musi wiedzieć, że i król Jan nareszcie ciągnie, aby Poznań opanować. — Nasi bracia pomęczeni, a tu im stać nie będzie spoczynkiem.

Teodoryk ramionami obojętnie poruszył i powtórzył:

— Dajcie rozkaz, aby się tu oddziały ścigały...

Nie mogło być już sporu o to; Zygard konie zawrócił i pojechał zwolna do swoich braci, którzy szemrali jak on na niewygodny nocleg w mokrej nizinie, nawet chrustu na ogniska nie mogącej im dostarczyć.

Starszyzna krzyżacka, bezkarnemi zagony po kraju polskim uzuchwalona, nigdzie dotąd nie spotykająca nieprzyjaciela, przestała już wierzyć w niego.

Opodał trochę od wielkiego namiotu, który pospiesznie rozpinano, bijąc koły mające go utrzymywać, na koniach stali Zygward Koprzywicki, Herman Elbląski Komtur, Albert Ore Gdański kilku gości znaczniejszych Komturów — kilku grafów należących do zakonu.

Składali oni kółko nawykłe czasu tej wojny zabawiać się razem, ucztować, polować i pa nad ludźmi.

Herman Elbląski szczególnie był w chwilach szalu żartobliwy i do okrucieństwa umiał mieszać dowcip cyniczny.

Opowiadano o jego rozmaitych wykwintnych a przemysłnych sztukach w znęcaniu się nad pogany, bo co polskie dla krzyżaków za pogańskie stało.

Kółko to dobrych druhów już nieco łowami na ludzi, paleniem i ścinaniem było znużone... Zapasy obozowe z Torunia wzięte na wyprawę wyczerpywały się, wino coraz było gorsze, przyprawa pigmentu coraz mniej korzenna, kuchnia coraz bardziej zaniedbana... Jesień miała poranki chłodne i dnie slotne. Kraj stał wielką wygorzałą pustynią, ludzi nawet dla zabawy nie spotykali, wszyscy więc za tem głosowali, aby z łatwem a zupełnem zwycięstwem powracać do Torunia.

Twarze większej części dostojnych tych panów zasepione były, Herman poziewał, nudziło mu się.

Przybywający Zygard mrucząc, doniósł, iż Teodoryk upiera się stać pod tą lichą osadą.

Elbląski poruszył ramionami.

— Goniemy widmo jakieś — rzekł... Królik ten mały nie ma najmniejszej ochoty spotkać się z naszymi włóczyniami — ani go widać, ani słyszać. Polski nasz pan Palatyn pierwszyby go zwąchał, bo się lęka dostać w jego ręce, a ten zaręcza i poprzysięga, iż w okolicy znowu go nie ma... po co my się jeszcze tu włóczemy?

Albert komtur Gdański, figura bardzo dostojna, wielkiego rodu, wielkiej dumy — obejrzał się po równinie.

— Prawda, że tu miejsca dość, choćby na dwa razy tyle żołnierza, ile my go mamy, rzekł — ale stać w tym blocie nie jest rzeczą wielce przyjemną.

— Mistrz rzekł! skłaniając głowę trochę szydersko, ozwał się Zygart.

— Ani ognia prędko naniecić nie będzie z czego rzekł Albert, ani wody czystej tu dostać...

— Nie ma innego sposobu, tylko — rzekł Elbląski, do tej wioski, która już pusta być musi, lub za chwilę nią być powinna, ślać i kazać te chalupy rozbierać...

Wioska w istocie widna w pewnym oddaleniu, tak wyglądała nędznie, iż ledwie się z niej opału było można spodziewać. Z wyjątkiem chaty soltysa, reszta na pół siedziała w ziemi. Oddział krzyżacki już się tam kręcił, szukając ofiar, ale ludność zbiegła wcześniej. Dwóch bezsilnych starców znaleźli, jednego w lepiance na barlogu, drugiego na przyźbie siedzącego z tą obojętnością na śmierć, jaką późny wiek daje... Zabił jednego żołdak, wbiwszy mu w serce włócznię, drugiego na płocie uwiązano rozkrzyżowanego, aby dogorywał powoli.

Były to zwykle igraszki żołdaków... Młodszy skarżyli się, że dla lepszej zabawy niewiast nie znaleźli... i dzieci...

Wieś była jak wymarła, ludzie w lesie, bydło i konie z niemi...

Kupka naszych dostojnych rycerzy stała jeszcze na małym wzgórku, czekając rozbicia namiotów, gdy w pewnym oddaleniu, polski oddział wojewody się ukazał, szukając tuż miejsca dla siebie... Był on przedmiotem ciągłego niemców szyderstwa. Lżejszy uzbrojeniem, nieco rozprężony pochodami, mniej karny, stawiał się inaczej: choć mu na bucie nie zbywało. Wedle pojęć niemieckich, nie był to żołnierz, jakim go oni mieć chcieli. Przodem z otoczeniem swem dosyć strojno i lśniąco jechał wojewoda, u boku jego Dobek i Włostek.

Wincz, który przez czas dosyć długi miał oblicze oswiałe i smutne — teraz spoglądał raźnie, śmiało i czoło niósł do góry.

Zygard to postrzegł.

— Patrzcie no — szepnął, jak odżył polak, upewniwszy się, że się z królem nie spotka! Dopiero od dni niewielu w oczy patrzy śmielej.

— Nie cierpię człowieka tego, odezwał się Elbląski — nie zawinił mi nic, ale jak dla psa kota sam zapach i kształt jest odrażliwy, tak dla mnie każdego polaka, tego zaś więcej, niż innych.

Rozśmieli się inni.

— I ja ich nie znoszę — dodał Gdański — barbarzyńcy są, a chrześcian udają, wolę już prusaków.

Wojsko polskie szło luźno, spoglądając na krzyżaków z ukosa. Milczano w szeregach, lecz

było to jakieś znaczące i wymowne milczenie ludzi, zmuszających się do krycia tego, co się w duszy ich działo. Milczeli — ale twarze ich mówiły; ktokolwiek z nich sądził, że nie będzie postrzeżony, oczyma i usty okazywał wstręt, na widok Niemców, posunięty do wybuchu...

Starszyzna hamowała surowemi wejrzeniami i mało znaczącemi ruchami, nakazującemi milczenie...

Nie mając nic do czynienia, krzyżacy jakby przegląd sprawiali przechodzącego oddziału. Zwrócili się ku niemu twarzami, uśmiechali się, szepotali, pokazywali sobie palcami odartszych i mniej pozornych, u których często całej zbroi nie było i oręż bardzo lichy.

Komturowi Elbląskiemu, który twarz zawsze układając poważną, drwić lubił — zachciało się zaczepić Wincza, który unikał wejrzenia na stojących gromadką rycerzy.

Nie mógł wytrzymać i głosem tym, w którego powadze pozornej przebrzmiewało szyderstwo — zawołał.

— Pozdrawiam Palatyna.

Wincz skłonił głowę bez odpowiedzi i chciał iść dalej.

— O króliku nic nie słyhać? zagadnął Herman.

— Nie ma go — odparł wojewoda — możemy spać spokojnie.

— Nigdy on nam snu nie psul — rozśmiał

się Herman — lecz zawsze bezpieczniej jest wiedzieć, że nam nie przyjdzie dać — dzień dobry?

Słowa te wystosowane do wojewody, usłyszał dobrze Wincz i zatrzymał się nieco. W oczach mu zaświecił ogień jakiś, błysk — niby także szyderski.

— Juścić tak potężne wojsko jak to, które marszałek wiecie, rzekł, nie ma się co lękać tego krakowskiego pana — to pewne, jednakże ten człeczek czasem bywał szczęśliwy, a zawsze jest zręczny... Nie można go lekceważyć.

— Szczególniej wy, co go lepiej znacie — nie możecie, jak my, nie wiele się oń troszczyć — odparł Elbląski. — Myśmy o nim pochlebnego przekonania nie nabrali, uchodzić umie — to prawda...

— A w wojnie i to sztuka, odezwał się wojewoda.

— Nie wiele czci przynosząca — dodał komtur gdański.

Wojewoda spojrział dokoła i zagryzł usta.

Dotąd milczący stary zakonu rycerz Maks von Hohlburg, który osobistém męstwem się wslawił — mruknął jakby mimowolnie.

— Nie chciałbym ja teraz się z nim potykać. Żołnierz dzielny i wódz przebiegły, a nasze rycerstwo znużone włóczęgą, dobywaniem miastek, prawdę rzec i łupieżą — ociężałe jest...

Zamknięto mu usta wnet, bo nie chciano, by wojewoda to usłyszał...

Wincz, którego część oddziału już przeciągnęła, powlókł się za nim.

— Co wy mówicie, otuknął go Elbląski. Nasz żołnierz znużony i znudzony — więcej zawsze wart od ich świeżego... Nigdy i w żadnym razie on nam nie straszny. Nigdy! Patrzyliście na ten oddział wojewody, tacy oni wszyscy... Lud jak lud, ale ani oręża, ani sztuki wojskowej nie mają.

Maks siwą brodę pogładził.

— Nie należy — dodał — nigdy nieprzyjaciela lekceważyć.

Herman rozśmiał się i splunął.

— W jednym tylko razie straszni nam być mogą, gdyby ich dziesięć razy tyle było co nas — Litwa, prusacy, oni, tylko kupą i nawalem złamać nas potrafią.

Maks — coś zamruczał, wąsa zakąsił, sprzeczać się nie chciał. Dokoła ruch powstał ogromny, wbijano drągi, rozciągano sznury, ustawiano żłoby dla koni, wozy wyprzęgano. Oboźni biegali każdemu pułkowi,znaczając granice. Ciury z niezbyt odległej wsi wlokły już drzewo z chatek, chrust i porozrębywane sprzęty na ognisko...

W tem postać się wśród obozu ukazała, która starszyny zwróciła uwagę. Był to żebrak z krzywą głową i złamanym grzbietem, który z trudnością

podnosząc nieco oczy, rozglądał się w około i włókł nogami, idąc z ciężkością wielką.

Zkąd się on tu wziął i jak go puszczone bezkarnie, jak uszedł napaści i żołnierskiego okrucieństwa? trudno pojąć było, gdyż z sukni widać było, że do polskiego plemienia należał — a temu nie przebaczano. Kalectwo chyba może dawało mu bezkarnie tak błądzić.

Zdawał się nie lękać wcale tych obcych twarzy i mowy, i z nieświadomością niebezpieczeństwa rękę kiedy niekiedy wyciągał...

Stanął — szukał czegoś oczyma... zobaczył namiot czerwony, którego ściany właśnie się rozwijały, a przy nim obok już wiała wetknięta w ziemię chorągiew zakonu. Skierował się w tę stronę, lecz powolnie bardzo.

— To Zbik — szepnął po cichu komtur Elbląski... inny by się tu nie odważył. Służy nam...

Popatrzyli nań.

Zbik ujrawszy marszałka, który z kompani stał przed namiotem, podszedł ku niemu.

Jeden z towarzyszków Teodoryka, na dany przezeń znak, rzucił mu jałmużnę. Można się było domyślać z dala, iż słów kilka zamieniono popiesznie.

Żebrak mrucząc i ciągle głowę nosząc skrzywioną, powłókł się na miejsce puste nieopodał, klął na ziemi i z trudnością położył.

Namioty stały tak, że pomiędzy niemi małe

uliczki pozostawiano. Jedna z nich wprost wiodła do oddziału polskiego, tak że żebrak mógł być przez nich widziany.

Ciemniało powoli, rycerze rozjeżdżali się zwolna każdy do swojego namiotu, aby zbroje złożyć i odetchnąć. Na żebraka nie patrzył nikt. Ciury zajęte były rozpalaniem ognia i gospodarstwem koło wozów.

Zbik poleżawszy na ziemi, podniósł się zwolna, ostrożnie, i na kiju sparszy, iść zaczął. Zdawało się, że błądzi — lub niedowidzi, snuł się tu i owdzie — powracał. Jakby przypadkiem znalazł się w ciasnej uliczce i w niej zniknął.

Obóz polski dnia tego leżał na skraju; stanowiął on piąty oddział wojska, którego oprócz niego cztery hufce były. Wojewoda wyznaczonego sobie bagnistego gruntu nie przyjął, z oboźnemi się skłócił i nieco opodał położył, zgromiwszy ich, że w błocie ludzi kłaść nie będzie.

Mały namiot niepoczesny już był gotów, lecz wojewoda na tę noc nie z wozów zdejmować nie kazał, nie dla siebie nie znosić. Rzucono garść słomy dla niego.

Niecierpliwy był, ognia kłaść wzbronił, zbroi zdejmować zakazał, chodził, nie zdając się potrzebować spoczynku.

Dobek siedział tuż na siodle z konia zdjętém, Włostek snuł się ciągle, to do namiotów zaglądał, to do ludzi swych dochodząc... Wojewoda

też w namiocie usiedzieć nie mogąc, nieustannie podnosił ściankę u wnijscia i wyglądał...

Zbik się tu przywłókł powoli, głowę nieco podniósł, wpatrywał długo i u namiotu przystanął.

Przysunął się tak blisko, iż gdy wojewoda znowu wyrzał, oko w oko się z nim spotkał.

Znali się pewnie, gdyż ani wojewoda zbyt się nie zadziwił, zobaczywszy go, ani on się uląkł groźnego oblicza pańskiego. — Chwilkę milczeli.

Wincz popatrzał się w dal i dał mu znak, by wszedł do namiotu.

Znalazłszy się tu Zbik z krzywego stał się prostym i głowa na karku znalazła w swém miejscu. Ręką się skłonił do kolan wojewodzie. .

— Widział cię marszałek? — spytał Wincz.

— A jakże? odparł Zbik — i jałmużnę mi dał — przecież ja mu służę. . .

To mówiąc uśmiechnął się dziko.

— Ale komu ja służę dziś? dodał, albo ja wiem. . . Służyłem wam, kazaliście mi służyć im, co dalej — albo wiem?

Wam winienem życie — was słucham.

Wlepił oczy w wojewodę.

— Marszałek pytał cię? — rzekł krótko i nie cierpliwie Wincz.

— Pytał.

— Coś mu powiedział?

— Jakaście wczoraj przykazali, rzekł żebrak. Słucham przykazania — nie wiem komu służyć...

Roześmiał się niby głupkowato... i powtórzył.

— Wam winienem życie, przysiągłem za to służyć.

Wlepił oczy w wojewodę, który pochylił się ku niemu.

— Jak daleko są? spytał.

— Tuż, w lesie — rzekł żebrak...

— Straże postavili!

— A jakże... Nocą albo nad ranem przyjdzie mgła pewno, mówił Zbik obojętnym głosem... człowieka o krok dojrzeć nie będzie można.

— A ty drogę znajdziesz po ciemku? spytał wojewoda.

— Ja? rozśmiał się swym głosem cienkim i piskliwym żebrak... Dokąd?

— Do nich...

— Nie wielkiego na to rozumu trzeba — rzekł żebrak... jam tu swój między Radziejowem a Brześciem.

Westchnął ciężko i natychmiast oczy podnosząc jak wierny pies, co czeka skinienia, wlepił je w wojewodę.

— Dokąd? panku! spytał cicho. — Do nich? Zaraz?...

— Nocą, nie czekając dnia! rozumiesz...

— Z czym?

Wojewoda mu się nachylił do ucha.

— Z czem? poczał żywo i niecierpliwie, poruszając rękami. — Powiesz — teraz albo nigdy. — Teraz, jutro... Część ich odeszła do Brześcia... — część nie dociągnęła do noclegu. Ci co są, ościęzali, ospali... a nie spodziewają się wcale...

Zbik słuchał tych słów z uwagą wielką, powtarzając je sobie po cichu, oczy wytrzeszczając, jakby wysiłek wielki czynił dla spamietania wszystkiego.

Wojewoda raz jeszcze ponowił zalecenie.

— Jutro o świtanu...

Zbik w rękę go pocałował żywo i natychmiast skurczył się, skrzywił, głowę przygiął, kaleską wysunął się z namiotu i zniknął.

Noc nadchodziła.

Jak przepowiedział żebrak, mgła gęsta zsuwać się zaczęła na ziemię, wilgotna, przejmująca, nasycona tą wonią właściwą, którą jesienne tumany z sobą przynoszą — niewiadomo z ziemi ją biorąc, czy z obłoków...

Dymy porozpalanych ogni, przyciśnięte jej ciężarem padały też ku ziemi i rozsiadły się jak szare opony nad obozem.

Najmniejszy powiew wiatru nie poruszał tej atmosfery zsiadłej, mokrej, wygryzającej oczy, oddech uciskającej.

Z obozu polskiego nie widać było Niemców, krzyżacy nie mogli też dostrzedz ludzi wojewody.

Ztamtąd od żołdaków niemieckich dolatywały okrzyki zwykłe, do koła wojewody cicho szło jako nigdy.

Wszystek lud siedział jakiś zachmurzony i niespokojny . . .

Wojewoda szepnął coś Dobkowi, ten powstał i skierował się ku namiotom starszyny Nałęczów. . .

Pod jednym siedzieli Remisz, Ogon, Żegota i wszyscy ci, których widzieliśmy już zniechęconych do wojewody. Teraz dziwna zgoda panowała w tém kółku. Z małej beczułki nalewali sobie każdy do swojego rogowego lub drewnianego, srebrnego lub mosiężnego kubka, popijali i szeptali cicho, jakby się lękali sami siebie.

Gdy zobaczyli wchodzącego Dobka oczy wszystkich zwróciły się ku niemu.

Głową dał znak im jakiś.

— Pewno! zapytał Siłacz . . .

— Pewno — rzekł Dobek . . .

Remisz zatarł ręce tak, jak gdyby się do użycia ich natychmiast sposobił.

— Do kata! noc dzisiejsza będzie długa! zawołał.

— Byle się nasi nie pospali — odparł Klimsz.

— Żaden oka nie zmruży — tak, ręczę — szepnął Remisz — tożsamo co my czują wszyscy... Ze skóry by powyłazili . . . tak im pilno.

Podniósł ręce do góry.

— Boże miłosierny! Boże mocny, Boże wielki — zawołał, dajże nam dożyć chwili tej, i — i — ..

Niedokończył...

— Byle król... rzekł Dobek nie zawahał się tym razem... Bo ich już drugi raz jak tu nie złapiemy, a i mgła okrutna... nie zobaczą go, aż im na kark nsiądzie...

Remisz zatarł ręce znowu.

— Powtórzcie no rozkazanie — odezwał się Ogon — co wojewoda mówi?

— Pogotowiu być — a poczynać nie spieszyc, aż król sam znak da, padając na nich...

— A jeżeli we mgłę na nas padnie pierwszych...? rzekł Remisz zakłopotany.

— Nie może to być, bo wie gdzie leżym i dla tego wojewoda w dolinie się nie chciał mieścić, choć mu tam wyznaczono.

— Tak mi Boże dopomóż — począł Remisz — życie bym dał, żebym mógł komturowi Elbląskiemu za Sieradzki klasztor i kościół zapłacić.

Wzdrygnął się cały — milczeli inni.

Dobek spojrzał na młodego, w kącie na ziemi siedzącego Nałęcza i rzekł.

— Idź — od namiotu do namiotu, patrz co robią — napominaj, by zbroi nikt się ściągnąć nie ważył, koni nie puszczać... Siodeł nie zdejmować.

— Nuż podpatrzą, żeśmy tak czujni? zapytał Ogon.

— Dziś nie zobaczą nic — pilno im się wyłegać, a nie obawiają się niczego — rzekł Dobek.

Postał jednak chwilę milczący...

— Kto z was trochę szwargocze, a o niemca się otrzeć nie boi? zapytał.

Wstał drugi młokos, któremu się ledwie wąs sypał, syn Remisza, którego paliła gorączka okrutna.

— Ja! — rzekł.

— Idź ku namiotowi marszałka i wielkiego komtura, otwórz oczy i patrz, co robią, czy piją dobrze, czy zbroje zdjęli, czy czeladź już napiła... a wracaj!!

Sando chwycił hełm i wysunął się.

Starsi siedzieli.

Oczekiwanie niecierpliwe chwile dłuży — wieczór pełził na żółwiu... czas zdawał się nieprzeżyty... Patrzali na siebie, to jeden to drugi wstał, przeszedł się, usiadł, zerwał znowu i wzdychał. Uchylali zasłonę wpatrując się w ciemności.

Noc była czarna, a dla mgły gęstej o krok ginęło wszystko.

W tej części obozu cisza śmierci, a dalej głuche szmery i wrzawa...

Czekano powrotu Sławka i Sanda.

Dobek spojrział na miecz swój wiszący u pasa, dobył go i przy lampce ostrza popróbowwał: Dru-dzy zobaczywszy to, rzucili się też do swoich.

Rzadko któremu wyrwało się słowo... szep-tano nie wyraźnie...

— W obozie koguty nawet nie zapieją, rzekł Remisz, a w Blewie pono nietylko koguta, ale i szczura niema!! Jak tu człek pozna, gdy się ranek zbliży?..

Pierwszy Sando powrócił—oczy mu się śmiały.

— U marszałka uczują na zabój — rzekł. Dopiero siedli jeść, a wypili już dosyć... Słychać to z pieśni, bo póki trzeźwi śpiewają pobożne, a już teraz poczęli —... swawolne. Za każdą prześpiwką, bucha śmiech okrutny...

Spojrzeli po sobie wszyscy...

— A u innych spokojnie? pytał Dobek.

— Wszędzie wesoło — odparł Sando...

— Im dłużej czuwać będą, tem na dzień lepiej zasną — dodał Remisz.

Wbiegł Sławek — zwrócono się ku niemu — ręką naprzód pokazał, że wszystko jest jak trzeba.

— Nikt się nawet nie rozpiął—rzekł, a wszystkim tak pilno, jak nam dnia doczekać...

Siedzą po namiotach i pod wozami, jak na czatach, każdy miecz trzymając w ręku.

Uśmiechnęli się ku sobie starsi.

— Jak się wam zda? zapytał Remisz — jestli już północ?

— Kto go dziś wie — rozśmiał się Ogon — ja z doświadczenia to znam, że dni w życiu nie równe — gdy człek chce skrócić to się wyciąga, a gdy przedłużyćby rad, kurczą...

Zagładał do beczulki, aż ostatnią z niej kroplę wylał Klimcz. Remisz znalazł drugą pogotowiu — lecz nie wszyscy godzili się, by zajrzeć do niej.

— Z mętą głową iść na bój nie dobrze — odezwał się Dobek.

— Albo — albo — sprzeciwił się Remisz — czasem w boju trzeźwy nadto widzi, a lepiej ślepym być.

Poczęli nalewać po troszę, do ranka było daleko.

Ten i ów dobył suchego chleba i zawiędłego mięsa — ale z rozmową nie szło — myśli wirowały około jednego — rychło li przyjdzie ranek.

Co który odsłonił namiot, aby noc zobaczyć, to go wnet zapuszczał — ciemność była nieprzebita... Mgła gęstniała choć ją nożem krajać.

Klimczowi się nudziło...

— Gdyby nam kto choć bajki powiadał — odezwał się.

— Tobysmy ich nie słuchali, — odparł Dobek — we mnie jedno gada i ja to tylko słyszę — zemsta! zemsta...

— Jabym gotów w kości grać — rozśmiał się Klimcz — aby tę noc jak przeżyć...

Ruszyli wszyscy, ale Remisz rękę na tarcicze, co za stół służyła, położył.

— Niech Bóg uchowa! — zawołał — rychlej by się modlić! a toć to nroczysty dzień jak wigilja przed świętem.

— Prawda — odparł Ogon — kości na inny czas...

Uchyłili drobinę namiotu. Ciemno było — i cicho...

Nawet od obozu Krzyżackiego nie dochodziło już nic, oprócz ruchu koni przy żłobach i szczekania psów, które Krzyżacy prowadzili z sobą.

Milczenie zaległo w namiocie. Oczekiwanie długie odrętwiało... lecz każdy lękał się zamrużyć oka... i ci co trochę opodal siedzieli, a mimowoli się zdrzemnęli, wstawali wnet, by się nie dać snem ująć.

To jeden to drugi zaglądał w podwórze... nie widząc nic.

— Noc bo się chyba nigdy nie skończy — zawołał zrozpaczony Remisz. — Jakem żyw nawet koło Godów takiej nocy nie pamiętam... Krzyżacy ją chyba dla siebie zrobili umyślnie...

Umilkł... Wszyscy ustawili uszy, Dobek szybko odgarnął opłótek u wnijscia... Zdawa, gdzieś coś słyhać było... niby stąpanie ciężkie w chmurach miękkich, niby stłumione toczenie się po ziemi...

Nie myliło ich ucho, w głębi tej nocy ruszało się coś, powolnie, ostrożnie, daleko...

Ruch ten ustawał — milknął, ginął i wznowiał się... Poruszyli się starsi...

— Sławek, po namiotach! niech nie śpią, już coś słyszeć...

Sando i Sławek oba wybiegli... W odsłoniętym namiotu otworze, chyliły się głowy ciekawe — nasłuchując...

Głuche owo tętnienie wznawiało się, lecz duia, ani brzasku, ani świtania na niebie widać nie było...

Noc nie miała końca.

VII.

Dniało — lecz była noc jeszcze, z czarnych tylko ciemności się zmieniły na białe. W tej szarej oponie oko tak samo dojrzeć nie nie mogło, jak wprzód w czarnej nie nie widziało.

Dzień przychodził nie wiedzieć zkąd, a mgła zdawała się coraz zsiadlejszą, a chłód przejmował do kości, wilgoć oblewała wszystko — świat był mokry, jakby w wodzie zanurzony.

W polskim obozie zdawało się spać wszystko — lecz jedna powieka się nie zamknęła na chwilę.—Niemcy nęztowali długo i spali twardo.

Straże ich nawet posiadały na ziemi poobwiane w płaszcze, i kamieniały znużeniem...

Po nad namiotem marszałka wielka chorągiew zakonu, wisiała także jak uśpiona, obmokła... i znikł z niej ten krzyż, którym się urągała światu... Pokrajana w pasy czarne i białe, wyda-

wała się żałobnym proporcem, zawieszonym nad grobem.

W dali ciągle coś słychać było... jak gdyby morze zbudzone szło zalewać ziemię... i huk ten stłumiony tak właśnie jak fale przestankami był przerywany...

Spali niemcy — oprócz Teodoryka, który przed obrazem N. Panny się modlił. Dwaj kompani stali u drzwi jego...

Wstał wreszcie z klęcznika, i płaszcz narzuciwszy na ramiona, szedł przez pusty namiot wielki ku wnijściu. Ucho jego chwyciło ten szum fali... to toczenie się jakieś głuche...

Staął, wyprostował się i pobladł...

Odchylił wnijście — słuchał i oczy mu słupem stanęły...

W obozie o krok nie widać nie było, a na wpół mgłą obwinięte straże najbliższe, siedziały jak skamieniałe...

Brwi mu się ściągnęły groźnie...

W téj chwili tentent powolny zaczął go dochodzić tak wyraźnie, iż stojącego kompana za ramię pochwycił.

— Pobudka! — krzyknął — dzień! Śpi wszystko...

Pobudkę uderzyć...

Wśród ciszy głos marszałka rozległ się głucho i stłumiony w powietrzu, które mu iść daleko nie dało — zgasł u progu.

Kompani biegli do straży...

W dolinie rżały konie i jakby szczękały oręże — zkąd? czyje? swoje czy obce? marszałek rozeznąć nie mógł.

Uczuł w sercu trwogę i przeczucie jakieś — groźbę niebezpieczeństwa, w które nie wierzył dotąd.

Widmo Łoktka stało mu przed oczyma. — Był niemal pewien, że on to nadciąga, korzystając z mgły i ocieężałości ludzi jego, długimi po kraju bezbronnym łupieżami znużonych i wysiłonych...

— Na koni — zawołał chwytając za ramię w szarym płaszczu nadechodzącego pół-brata Krzyżackiego Jurge... — na koni i w czwał za Otonem Luterburgiem, aby mi w pomoc pospieszał.

Polacy nadciągają...

Jurga stanął zdumiony, gdyż nikt ich ani słyszał, ani widział. Przecztał ich Teodoryk...

Jak stał na pół ledwie i lekko uzbrojony, pierwszego konia, który mu się nastęczył pochwycił i dosiadł. Był to wierzchowiec jednego ze straży obozowej, śpiącego pod namiotem.

Marszałek skoczył na siodło, a to było znakiem dla dwóch jego kompanów, którzy nigdy go odstępować nie mieli prawa, by także konie porwawszy, zdążyli za nim.

Teodoryk popędził w tę stronę, z której go tentent dochodził najwyraźniej. Dzień coraz był

pozornie jaśniejszy, ale na ziemi osiadająca mgła biała, nie dawała nic widzieć o kilka kroków.

Przebił się marszałek przez namioty i wozy i odważnie puścił w dolinę... Tu stąpanie koni i chrzęst zbroi wyraźniej się słyszeć dawały; ale napróżno wzrok wyteżał... nigdzie żadnych przednich czat dostrzedz nie mógł.

Obawa o los oddziału, któryby bez niego straciwszy wodza, łatwo mógł się rozprzęgnać, nie dozwalała mu zbyt się posuwać daleko... — Zwolnił kroku...

W tém z gęstą mgłą, wynurzać się zaczęło kilku jeźdźców...

Zbrojni dobrze, w hełmach żelaznych, z lekkimi włóczniami w rękach, na koniach siatkami żelaznymi okrytych, posuwali się zwolna... na pół jeszcze mgłą okryci...

Dość było widoku ich dla marszałka, aby to co w nim jako przeczucie się objawiło—stało się dlań rzeczywistością.

Krakowski król podchodził do ich obozu!

Teodoryk zawrócił konia i pędem rzucił się nazad, a pierwszych namiotów dopadłszy, wołać począł głosem wielkim, rozpaczliwym...

— Na koń! na koń...

Ludzie schwyceni wołaniem tém wśród snu, wybiegali nie odziani z namiotów, straciwszy przytomność, chwytając i rzucając, co napadli.

Starszyna rychlej zbudzona... uwijała się

wśród obozu z podniesionemi mieczami, płazując opieszale, uderzając po namiotach... — rozkazując trąbić i krzycząc:

— Do broni! do koni.

Popłoch niewysłowiony w mgnieniu oka poruszył całym, przed chwilą jeszcze w głębokim śnie spoczywającym obozem...

Nieprzyjaciela widać jeszcze nie było, lecz czuli go na karkach wszyscy.

Teodoryk nie zsiadając z konia — biegł sam do koła...

Rozkazał łańcuchami żelazu opasać obozowisko swoje, które pierwsze natarcie wstrzymać mogły, by dać czas rycerstwu uzbroić się i stanąć w szeregach...

Żołnierz, który tak długo miał do czynienia z ludem bezbronnym i nabrał zuchwałości bezmierniej — schwycony niespodzianem niebezpieczeństwem — w części mu nie dowierzał, w części znalazł się w obec niego bezradnym...

Odwykł od boju...

Napaść nań, która się gotowała w łonie tych białych ciemności, miała w sobie coś zagadkowego, niezrozumiałego — strasznego tём, że się niedawała pochwycić — że nieprzyjaciół przychodził niepostrzeżony, i nie można go było obliczyć...

Część wojsk krzyżackich z najemników złożona, jeszcze nie wytrzeźwiona po wczorajszym

chmielu wieczornym—nie wierzyła w popłoch... miała go za jakąś igraszkę lub wymysł...

Komturowie tylko, goście obcy, starszyzna z przytomnością umysłu większą, odziali się we zbroje i występowali w pośrodek obozu, nawołując do siebie żołnierzy, którzy z pośpiechu ledwie się uzbroić mogli...

Kupki składały się nie jednolite, nie tak jak iść były nawykłe... Wrzawa obozowa nie dawała słyszeć nadciągającego nieprzyjaciela...

Komtur Elbląski i Gdański, którzy się wysunęli po za łańcuch już obóz opasujący w części — widzieli go — harcownicy polscy, wypadali z mgły ku obozowi... ukazywali się i znikali.

W małych przestankach cichszych, marszałek mógł pochwycić oddalone głosy surm polskich, przeraźliwe, dzikie — a śmiałe .. zdające się uragać Krzyżakom...

Zuchwalstwo to, z jakim król tak długo unikający spotkania teraz sam do niego wyzywał, było dla Teodoryka upokarzającym.

Zwiastowało ono, że ostrożny Łoktek—musiał być pewien siebie i swej przewagi.

Taż sama myśl odjęła męstwo komturom Hermanowi i Albertowi, ale natchnęła ich rozpaczliwym szalem...

Czuli, że cześć a może i życie stracić mieli—chcieli je przynajmniej walką okrutną okupić.

Herman co nie przebaczał nikomu — wiedział, że mu nie przebaczą...

Zebrałą garść prowadził ku opasującemu obozowisko łańcuchowi.

Teodoryk objeżdżał do koła namioty i ludzi rozpierchanych słał tam, gdzie mu się pierwszy napad grozić zdawał...

Domyślał się Łoktka z jednej strony, od której naprzód tnrkot i surmy słyszeć się dały — objeżdżając w koło, przerażony został, widząc w innych częściach obozu przemykające z różnych stron polskie czaty...

Tu i tam surmy grały wyzywając...

Polacy więc bez mała otaczali do koła...

Wśród tego zamieszania które panowało pomiędzy Niemcami, nikt ani pomyślał o polskich posiłkach wojewody... Gdyby Niemcy byli spojrzeli na tych sprzymierzeńców swoich, mogli by byli już teraz domyślać się w nich, jeśli nie zdrady, to umyślnej opieszałości...

Gdy tuż obok biegał żołdak niemiecki rozgorzały i nieprzytomny — wadząc się o broń i konie, aby co prędzej stać w gotowości do obrony; w polskim obozie milczenie i spokój panował...

Nie przestraszył się tu nikt. Zwolna wysuwały się już w pełnych zbrojach postacie blade, włócznicze w ziemi utkwione powoli ściągając, konie opatrując i nie spiesząc do wystąpienia... Tu

wszystko zdawało się być w gotowości i w lepszym niż zwykle porządku...

Spoglądano ku namiotkowi wojewody, który się nie ukazał.

Dobek z chustą białą na hełmie zawiązaną, które sobie dla znaku pewnie, poczepiali i inni Nałęcz — snuł się bliżej niemieckiego stanowiska — ciesząc widokiem bezładn, jaki tu panował.

Szczeńciem dla wojewody, czy zapomniano o nim, czy tak nań mało rachowano — czy też nie miano czasu się troszczyć o Polaków, nie zajął tu nikt...

Łańcuch, którym się opasywali na pręde Niemcy, z rozkazu marszałka, nie objął polskiego obozu, który po za jego obrębem pozostał.

Nieprzyjaciel dotąd zaledwie surmami zdala się oznajmujący, w chwili gdy połowa Krzyżaków nie była do boju gotową, a część znaczna błąkała się bezładnie, w jedne miejsca cisnąć tłumnie, drugie pozostawiając bez obrony — nagle wystąpił z za zasłon, które go kryły i wszędzie wielkim lasem włóczni runął na rycerzy stojących u łańcucha...

Krzyżacy wytrzymali to uderzenie pierwsze, odpierając je ciężkimi włóczniami swojemi — kilku jezdnych obaliło się z końmi, z jednej i z drugiej strony — walka rozpoczęła się wściekła.

Teodoryk znajdujący się w pośrodku — widział już, że był zewsząd opasany i że siłom

tym, których policzyć nie mógł, oprzeć się nie potrafi...

Z trwogą pomyślał, czy posłaniec po Chełmińską brać, wymknąć się zdołał, czy komtur mu ją na odsiecz przyprowadzi.

W tém była nadzieja cała...

Teraz dopiero, gdy już zbroje o miecze szczękać zaczęły i bój u łańcuchów wrzał zajadły — wzrok jego padł w tę stronę, gdzie stał oddział wojewody...

Przypomniiał sobie swych sprzymierzeńców lekceważonych z radością, rachował bowiem, że Wincz ocalając głowę, bić się będzie rozpaczliwie.

Kroków kilkadziesiąt dzieliło go od tych namiotów—podbiegł ku nim... Łańcuch je od Niemców przedzielał. Za mgłą dostrzegł opróżnione już obozowisko, powywracane szalasy, poobalane wozy i w dali wojewodę na koniu, ludzi w szereгах, jakby tylko znaku oczekujących.

Zdumiało go to, że zamiast twarzami być zwróceni ku nieprzyjacielowi, stali, włócznie na obóz niemiecki nastawiwszy, czołem przeciw niemu.

Marszałek chciał dać rozkaz jakiś... gdy wśród mgły ujrzał nadbiegającego konno rycerza z białą chustą w ręku, który wojewodzie wskazywał obóz krzyżacki...

Ziemia zatętniała i z okrzykiem dzikiej radości, z wybuchem szalu, oddział wojewody puścił

się z téj strony, która wolną jeszcze była od napaści... na obóz Krzyżaków.

Teodoryk stał chwilę zdrętwiały, patrząc na tę nową klęskę i uskoczył ku wielkiemu namiotowi...

Naprzeciw niego toczył się bój, jakiego dzisiejsze walki wyobrażenia dać nie mogą.

Dwie żelazne ściany naciskały jedna na drugą, łańcuch był dawno rozerwany, Polacy szli ściśnięci i opasywali broniących się z męstwem wielkiem Krzyżaków...

Krnszyły się włócznie o zbroje, padali rycerze na ziemię, a który z nich runął z konia, o swój siłę podnieść się niemógł, tratowano go...

Włócznia była najgłówniejszym orężem. Strzała rzadko trafiała w obnażone od zbroi całkiem ciało okrywającą część, miecz kruszył się na grubych blachach... Topory ciężkie i straszliwe cepy żelazne na łańcuchach umocowane tłukły o szyszaki i napierśniki.

Krzyżaków padało więcej zgniecionych ciężarem własnych zbroi, Polacy lżej zbrojni, rany odnosili częstsze... i więcej krwi przelewali...

Napad wojewody z téj strony, która przez niego bronioną być miała, zawyrokował o losach dnia tego. Lecz... nie łatwo mieli się poddać Krzyżacy... Cześć rycerska zdać się im nie pozwalała... walczyli, drogo sprzedając życie...

Taką wydawała się teraz walka ta widziana z obozu niemieckiego...

Inną wcale była z polskiej strony... Zakon ważył może najlepszego żołnierza najemnego, król na szalę rzucał życie i królestwo swe...

Lecz królem tym był osiwiwały w bojach i mękach Łoktek, umysłu niengiętego i wielkiej wiary w przeznaczenie i opiekę Bożą... Czuł się zesłanym dla ocalenia téj korony i ziemi...

Przededniem jeszcze wystąpił z lasów, wiedząc dobrze o położeniu nieprzyjaciela, o siłach jego, o oddaleniu się komtura Chełmińskiego... Wojsko szło w ciszy, osłonięte mgłami aż na kilkoro stai od obozu nieprzyjaciela.

Tu król wystąpił sam, zwołując przed siebie wojewodów i chorążych, którzy go kołem otoczyli.

Błady był i wzruszony...

Dniem wprzód z obawy o los jedynaka, zmusił go do oddalenia się z Trepką, zakazał mu uczestniczyć w tym śmiertelnym boju.

— Ostatni to może raz pan Bóg mi dozwolił stanąć do bitwy z wami... — rzekł do swoich — niechże sromu nie poniosę!!

Nieprzyjaciel mocen jest, ale obciążony łupami i taborem, nie spodziewa się nas... Zwyciężym go...

Głos mu przerywał oddech przyspieszony. Spojrzał na wojewodów; wołając na nich po

imieniu, chorążych do siebie pozwał, obiecując im wdzięczność swą.

— Ostatni raz ja z wami idę, — powtórzył — ufajmy Bogu, a zwyciężymy...

Wszyscy się garnęli doń, przyrzekając walczyć do upadłego.

Król tego dnia wdział starą swą doświadczoną, w mnogich miejscach pogiętą i porąbaną zbroję, hełm zawarty — bez żadnych oznak, gdyż i tak wzrost go czynił do poznania łatwym, a nieprzyjaciela nań wyzywał.

Wojewoda krakowski zaczął wraz z innemi prosić go, aby na uboczu stał, do boju się nie mieszając — a im pozwolił zetrzeć się z nieprzyjacielem — lecz żadna siła w świecie starca powstrzymać nie mogła... Rwał się w pierwsze szeregi z niecierpliwością młodzieńczą.

Dodano mu do boku kilku, aby go przynajmniej osłaniali.

— Nie lękajcie się o mnie — rzekł do Hebdy — dałi Bóg zwyciężyć będę cały, — lecz jeżeli nas klęska spotka... nie chcę żywym zejść z pola!!

To rzekłszy król z innemi rzucił się na obóz krzyżacki...

Łańcuchy, które go opasywały, przy pierwszym uderzeniu porwane zostały.—Polskie hufce wtarnęły do obozu, zmieszali się tu Krzyżacy z Po-

lakami, a gdy szeregi prysnęły, bój pojedynczy aż pod namioty i w środek obozu się rozciągnął.

Mgła długo nie dozwalała dojrzeć nic, oprócz nieustających walk, konnych, pieszych, a wręście i leżących już na ziemi, a pasujących się i dławiących przeciwników...

Okolo pół dnia, gdy bój wrzał jeszcze ciągle — słońce przedarło się przez te opony szare... i straszliwy obraz odsłoniło oczom — samych walczących.

Pobojowisko trupami i rannemi było zasłane.. w pośród nich, na nich ucierali się Krzyżacy jeszcze, wiedząc że ocalić się nie mogą, a poddać nie chcąc jeszcze.

Marszałek zagrzewał resztki, zbierając rozpierchłych, obiecując przybycie komtura Chełmińskiego i odsieczy.

Obok niego otoczony wybranemi z między rycerstwa, stał z chorągwią zakonu Iwan... wielkiej siły i męstwa żołnierz, któremu dla postawy téj i okazanych już odwagi na placu boju dowodów powierzono zamię najdroższe...

Wojewoda Wincz z Dobkiem, rzucili się na gromadkę i zewsząd ją opasawszy, nacisnęli tak, że toporem rażony przez Dobka olbrzym padł, chorągiew na ziemię wlokąc z sobą.

Marszałek, który to ujrzał zdala, osłonił sobie oczy, ręka mu bezsilna opadła... Stał nie myśląc już o walce i nowy oddział, który na nie-

go natarł, razem z kompanami zabrał go w niewolę...

Nad wieczór walka była tak jak skończona, a jednak król rycerstwu nie dawał złożyć broni, ani się położyć na pobojowisku... Był pewien że za przybyciem powołanych posiłków, bój się raz jeszcze rozpocznie...

Jeńców powiązano sznurami, zwleczono do namiotów otoczonych strażą... Wojsko nie otarło mieczów i nie dało koniom wytchnąć...

Posiłki w istocie pod wodzą Plauena, nadbiegły z pod Brześcia... Gdy je nadciągające ujrzano, już jeńcy byli pod strażą, a król gotów do nowego boju.

Bój to był w szczérem polu, — ze świeżym żołnierzem, zemstą zagrzanym, gdy król miał z sobą znużonych już całodzienną walką, ale zwycięstwem podniesionych na duchu...

W tém drugiem spotkaniu ranny, lecz zagrzanym tém, że mu dzień ten płacił się na każdym kroku szczęściem wielkiem, Florjan Szary, który był już trzech znakomitszych rycerzy niemieckich z koni zsadził i oddał w niewolę, — rzucił się ze swemi kilku wprost na komtura wielkiego, Plauena...

Najdzielniejsi Krzyżaccy bracia bronili ostatniego dowódcy — Szary z taką gwałtownością natarł na nich, wiodąc za sobą Sieradzian, iż trzy

włócznie razem, strąciwszy zbroję lekką i już w boju zluzowaną, utkwily w nim.

Padł, nie wydawszy jęku, rozdarty straszliwie na pobojowisku, w chwili, gdy ciągnący za nim rzucili się na Plauena i porwali go w niewolę...

Szary cały swój pochod ten odbywał na wiernym koniu siwym, który od dawna mu służył... Byli to towarzysze nierozłączni i przyjaciele, koń znał głos, chód—czuł pana zdaleka... W pochodzie zdali się jednym jakimś centaurem, w którym dusza i myśl obu była wspólną.

Gdy Florjan zakrwawiony padł, oburącz chwy, tając rozdarte ciało, z którego wychodziły jelita... — koń stanął nad nim, kopytami wrył się w ziemię i pokrył go sobą. Uchronił go od strątownia i zgniecenia, którego ofiarą padało drugie tyle ludzi co zabitych mieczem i toporem.

Szary wychowany był i zahartowany jak na rycerza przystało... Każdej chwili gotów umrzeć, każdej godziny gotów cierpieć, czując życie w sobie, wspomniawszy na dom, żonę, dzieci — oburącz nacisnął wnętrzości i pozostał pod koniem, wśród dokoła wrzącego boju, czekając, co zrządzi Opatrzność.

On, ludzki swój i rycerski spełnił obowiązek do końca, teraz musiała wystąpić ta opieka Boża, która rozporządza żywotem i przeznaczeniem człowieka.

W duszy swej westchnął do Boga.

Miał li być ocalonym — z wyroku jego, potrzeba było mężnie doczekać chwili, w której mógł nadejść ratunek — przeznaczoném mu było umierać? — powinien był z mężstwem dotrwać do zgonu...

Koń stał nad nim ciągle, — innym wrywającym się i czwającym po poboju, a napadającym na niego, broniąc się osłaniając pana.

Florjan nie widział już, co się działo w koło niego, słyszał tylko zwycięzkie swoich okrzyki.. Krew z ran płynęła obficie, ręce w niej obie zbiedzzone czuł jak ukropem oblane, — nie mógł ich odjąć na chwilę, gdyż poszarpane ciało... razem z krwią wyrzuciłoby było wnętrzości...

Pot występował mu na czoło, modlił się spokojnie... Rachował rychło li ratunek jaki zjawić się może, ażali mu na tak długo sił stanie...

Mdłości chwilami jakby obłokiem osłaniały mu oczy, lecz wielka siła woli zwyciężała je — otrząsał się męczarni tej... spartańską siłą, — siłą męczenników tych, w których życie potęgowała wiara...

Przed oczyma stał mu jego dom, rodzina, ojciec stary... i ten sąsiad straszny, którego państwą może stać się mieli najdrożsi, gdyby on już tam powrócić nie mógł.

Nie stracił jeszcze nadziei... Krew upływała wprawdzie, lecz silne dłonie trzymały rozdarte rany spojone... Ręką wpychał jelita i—czekał...

Bój się zdał oddalać od niego... zbliżył raz znowu, odbiegł i cisza nastąpiła dla niego prawie od walki straszniejsza...

Koń z głową spuszczoną wachając wyciągnięte jego nogi, to stał spokojny, to rzeniem niecierpliwem wołać się zdawał na pomoc ludzi...

O ile dojrzeć mógł Szary... żywego do koła nie było już nikogo. Na wpół w ziemię wbity leżał przy nim Krzyżak własną zbroją zgnieciony, z głową obnażoną, z której hełm spadł, ze znakiem podkowy końskiej na czaszce i czole sztraskaném. Dalej nieco koń dogorywający napróżno usiłował się zerwać na nogi, przednimi kopytami rył ziemię, do pół się dźwigał i opadał.

Dalej widać było pogruchotane włócznie z ostrzami drzazgi sterczącymi do góry, połamany oręż, kupy błota w których już ciał startych na miazgę rozeznac nie było można... Mrok wieczora powoli zstępował na pobożowisko, do którego zdala, z miejsca, gdzie obóz był Krzyżacki — dochodził gwar i okrzyki zwyciężkie...

Szary czuł, że król otrzymał pole, że tam bracia jego weselili się ocaloną czią rycerską...

Wśród szumu i śmiechów nagle cisza się stała...

W tém głos jeden jakiś począł pieśń kościelną, Ciebie Boga chwalemy: i ogromnym chórem wszystko, co żyło powiodło za nim...

Szary miał na oczach łzy...

— Gdyby zginąć przyszło, — myślał w duchu, — krew nie darmo przelałem. Stań się wola Twoja.

Ręce mu drętwiały, siły się wyczerpywały.

Miałaby nikt nie zajrzeć na pobojowisko??

Noc nadchodziła...

Szary wiedział o tym zwyczaju wojskowym, iż ciury obozowe trupom długo nie odartym, leżeć nie dopuszczały, spiesząc do łupu... Często po nocy z pochodniami spieszyli pochwycić, co im bój zostawił po sobie...

Pieśń przebrzmiała... wrzawa nastąpiła po niej, przestanki ciszy, krzyki, wołania i oklaski...

Lecz słuch jego tępiał... oczy coraz widziały mniej, — czuł, że koń stojący nad nim drży i siania się... Rżał coraz słabiej, coraz rzadziej, ruszył się w końcu ostrożnie, zszedł o krok, głowę spuścił, nozdrzami dotykając jego twarzy...

Zdawał się patrzeć czy żyje... Florjan słabym głosem zawołał go jak zwykle... Siwy drgnął, ale i jego opuściły już siły—zwolna legł przy panu...

Nadzieja zaczęła słabnąć w sercu Szarego... Czuł że nie wydoła długo, że dłonie zmartwiałe ran nie utrzymają, i — życie wyniosą z sobą wnętrzności.. Potem zimnym oblewało się czoło..

Modlił się, duszę polecając Bogu... Zamknął oczy...

W tém koń zerwał się na nogi, wyciągnął szyję i rozpaczliwie zarżał. Zdało mu się, że usłyszał ludzkie głosy... że mignęły światła, że ziemia tętniała chodem ludzi, biegiem koni...

Otworzył z wolna osłabłe powieki...

Nad nim stał z jasną twarzą, otoczoną blaskiem nadziemskim król w swój zbroi potłuczoną i płaszczu szarym... patrzył na niego...

Obok w sukni księżej podeszłych lat mężczyzna... Dalej kupka ludzi...

— Mój Boże — co on za straszną mękę ponosi...

Głos ten życie przywrócił Szaremu, zebrał się na sił ostatek... i z uśmiechem męczeńskim odparł słabym głosem...

— Miłościwy panie... Sroższa daleko męka znosić pod bokiem złego sąsiada, jakiego ja miałem i mam!

Król postąpił krok bliżej. Stał przy nim Hebda i zawołał.

— A to mój Florjan z Surdęgi!

— Bądź dobrej myśli — odezwał się król — jeżeli się z tych ran wyleczysz, ja cię uwolnię od złego sąsiada...

Hebda natychmiast na nosze go ludziom wziąć przykazał i do obozu nieść, gdzie królewski lekarz miał rany opatrzyć i obwiązać.

Florjan dotrwawszy do tej chwili, więcej

mocą ducha niż ciała, gdy uczuł się już pod opieką — omdlał...

Miał zaledwie czas, czując się opadającym na siłach, zawołać ku wojewodzie.

— Siwego mego zabierzcie!!

VIII.

Nocy téj nikt na pobojuwisku nie zasnął, oprócz tych, co już nigdy wstać nie mieli.

Tam, gdzie niedawno był obóz Krzyżacki, rozbito namiot dla króla, gdzie powiewała wielka chorągiew zakonu z czarnym krzyżem i orłem, wiatr unosił czerwony proporzec królewski z orłem białym...

Na placu jak zajrzeć leżały trupy w części już poobnażane, częścią w zbrojach i szatach, zmieszane razem z końmi, potłuczonymi wozy, połamaną bronią.

Gdy ostatnia walka z Plauenem, wziętym do niewoli, skończyła się rozpadnięciem jego ludzi, którzy w nieładzie pierzchnęli — spędzono do gromady wszystkiego niewolnika wziętego rano i wieczorem; rycerzy, knechtów, co tylko poddało się lub żywo pochwycone być mogło...

Tłum to był, w którym najdostojniejsi miesza-
li się z najlichszymi, usiłując ocalić, małemi
czyniąc.

Lecz po resztkach zbroi, po twarzach i posta-
wach, łatwo było rozeznąć dowódców, resztki
białych płaszców poszarpanych zdradzały ich..

Pięćdziesięciu sześciu rycerzy dostało się
w ręce Polaków — około czterechset legło na
placu.

Tłum który otaczał niewolnika, warczał gro-
źno... Nie chciano im przebaczyć — wołano o
pomstę za swoich... Niektórzy rzucali się na
bezbронnych, tak że strażę ledwie do przybycia
króla, osłonić ich mogły...

Gdy Łoktek zsiadł z konia i spojrzał na po-
wiązanych sromotnie sznurami nieprzyjaciół swych,
między którymi znajdował się i Marszałek Teo-
doryk, z chłodną rezygnacją oczekujący śmierci—
komtur Elbląski Herman, blady jak trup, Albert
komtur Gdański, wielki komtur Otto von Bons-
dorf i na ostatku wzięty Russ von Plauen —
zmierzył ich oczyma zaiskrzonymi, słowa nie mó-
wiąc.

Najzuchwalsi z nich, obawiali się rozjątrzonego
tłumu, lecz za przybyciem króla pewni byli, iż
się Krakowski pan, nie będzie śmiał ważyć,
mściwego zakonu rozdrażniać, na śmierć ich ska-
żując... Z wejrzeń ich widać to było. Herman

dumniej podnosił głowę, Albert śmiało naciskający tłum odpychał.

Lecz Wielkopole, którzy byli świadkami, jak nieludzko się pastwili Krzyżacy nad bezbronniemi, po kościołach łżąc niewiasty, odzierając kapłanów, mordując starców u ołtarzów, pod których opiekę się schronili — Wielkopole zbiegli się kupą, najzjadlelej domagając nie zemsty, ale słusznego ukarania.

Łoktek właśnie Marszałka Teodoryka, którego mu wskazał nadchodzący Wincz kazał oddzielić i pod straż oddać osobną, gdy Remisz z głową pokrwawioną przypadł do niego, uląkłszy się, aby i innym nie darowano życia.

— Miłościwy panie! — począł wykrzykiwać, — miłościwy panie — posłuchajcie nas, myśmy najlepsze świadki.

Król wskazując na Niemców zapytał.

— Co to są za ludzie?

— My wam powiemy, miłościwy panie, co to są za ludzie — zawołał Remisz... Zbójcy są, okrutnicy, co ani krzyża na kościołach, ani niewiast, ni starców, ni kapłanów nie szanowali.

Wskazał na Elbląskiego Hermana...

— Oto kat... co dzieci kazał mordować, a klęczącemu przed nim przeorowi Dominikanów szyderstwem odpowiedział na błaganie...

Herman — w którym obawa o życie dumę

złamała — odparł podniesionym głosem, siłąc się na ladajaką polszczyznę, do króla.

— Wy najlepiej wiecie, wodzem będąc, czy on odpowiada za żołnierskie zbytki...

Słyszac to Remisz przypadł doń z pięściami i rzucił mu w twarz.

— *Ne prest!* niemiece przekłety, *ne prest!*

Za nim Wielkopolanie wszyscy pokrzykiwać zaczęli.

— Śmierć im wszystkim! śmierć!

— Po rycersku od miecza, zbójce ginąć nie są warci — krzyczał Remisz — postronkami ich, na postronki...

Zaledwie słów tych dokończył, a król nie miał czasu jeszcze odpowiedzieć ni powstrzymać, gdy tłum rzucił się ławą na krzyżackich jeńców i sznury im zarzucając na szyję, dusić począł.

Jeden z pierwszych, padł komtur Elbląski, którego ciało wywleczono precz, odarłszy ze zbroi. Za nim poszli inni. Ze starszyzny nie oszczędzono nikogo. Wściekłość była niewysłowna.

Król ani zapobiedz nie mogąc temu zemsty wybuchowi, ani chcąc nań patrzeć, wszedł do swojego namiotu.

Ogromny łup z obozu Marszałka ściągano teraz zewsząd, na kupy go zrzucając przed namiotem królewskim...

Noc zeszła na obrachowywaniu strat w ludziach i obmyśliwaniu skutecznego oporu zako-

nowi, o którego mściwém wystąpieniu, jak skoro wieść dojdzie do Malbarga o klęsce, nie wątpiono...

Leżeć tu długo stary król nie miał ochoty, ni czasu; donoszono mu, że król Jan czeski z siłą dość znaczną ciągnął na Poznań. Nie był on teraz tak strasznym, gdyż spodziewał się poparcia Krzyżaków, którego mu miało zabraknąć.

Łokietek ciągnąć chciał przeciwko niemu z niecierpliwością młodzieńczą, pewien zwycięstwa. Poznania mu dać nie godziło się...

Nazajutrz jednak wyciągnąć z pobojuwiska pod Płowcami, nie było można; król musiał swoje pułki na nowo pościagać, łup odesłać; spieszył posłów z radosną nowiną o zwycięstwie wyprawić do żony i syna...

Ranek upłynął na tych zachodach i przygotowaniach.

Było już około południa, gdy na gościńcu od Brześcia Kujawskiego pokazał się mały poczet konny, zwolna zmierzający ku namiotowi króla. Na czele jego powoli jechał mężczyzna wiekiem pochyłony, siwy, z różańcem w ręku, w czapce futrzanej na głowie, z krzyżem na piersi.

Rozpoczęta modlitwa na wargach mu skonowała, i oczy wlepione miał w smutny widok pobojuwiska, na którem obnażone, sine.. podarte, leżały ciała zabitych.

Noc, w czasie której ciury nie próżnowały,—

już wszystkie te trupy odarła z sukni, stada kraków ulatywały nad niemi, to spuszczać się na pole, to ulatując i krążąc spłoszone...

Od lasów... sunęły jakby cienie, ukazujące się i niknące w kotlinach... psy czy wilcy?

Starzec jechał, spoglądał i lży stawały mu na oczach... Nie wiedział nawet, gdy koń go zaniósł przed namiot królewski i stanął przed nim...

Starcem tym był Matjasz, biskup Kujawski.

Łoktek w szarą swą oponę wyszedł przeciw niemu...

Spojrzał na biskupa, uśmiechając się — lecz starczyło tego wejrzenia, by się przekonał, że starzec nie z radością zwycięstwa tu przybywał, lecz z boleścią nad tyłą ludzkimi żywotami, którem ono opłacone było.

Król widział w tym tryumf, duchowny płakał nad ofiarami...

Matjasz skłonił głowę sędziwą przed witającym go panem.

— Widzicie — ozwał się król — Bóg to zrządził. On mi dał nad dumnym wrogiem zwycięstwo, chwała niech mu będzie na wieki, iż się ulitował nademną...

— Ten sam Bóg — odezwał się biskup spokojnie — sprowadził mnie tu, miłościwy panie, abym ja, sługa jego — spełnił chrześcijański obowiązek — wrogom zarówno i swoim należy po grzeb i modlitwa...

Dozwól mi, abym ciała te pogrześć mógł — a okazał nieprzyjaciołom, iż chrześcianami jesteśmy i obowiązki nasze pełniemy...

Król milcząco skłonił głowę...

— Poniosłem i ja straty dotkliwe — odparł.. Zginał mój wierny Żegota z Morawicy, niema Krystyana z Ostrowa, Prandoty i Jakóba z Szumska... bronili moich chorągwi i położyli głowy..

Biskup ze smutkiem spoglądał na obnażone trupy wymordowanych Krzyżaków, na których szyjach postronki jeszcze zastrzęgły... któremi ich poduszono.

— Bogdajbyśmy za to drogo i długo nie musieli płacić! — odezwał się — możni są, mocni są, a mściwi i okrutni!

Pozostał kto żyw z wodzów ich? — spytał cicho.

Łokietek z niechęcią wymówił Marszałka imię.

— Jednego jego ocalić mogłem — rzekł — resztę ci wymordowali, którzy na ich niecne morderstwa patrzali.

Biskup natychmiast z konia zsiadłszy, z gromadką swoich ludzi i dodaną mu służbą obozową, poszedł dozorując, aby ciała zebrano i kopano mogiły...

Nad ranem z lasów nadciągnął na pobojowisko pozostawiony w nich obóz królewski. Z nim razem przybyła żona wojewody, która z sercem zboleła, poszła szukać męża...

Wojewoda na uboczu stał ze swemi.. Wszystek lud jego ochoczo się miewał z królewskim, on jeden pozostał odosobniony.. W twarzy jego nie tyle widać było radości, co niepokoju...

Pomiędzy wojskiem króla, znajdowało się niemało ziemian, których majątności zniszczyli Krzyżacy.. Winę spustoszenia tego przypisywano wojewodzie. Jego też i Nałęczów, choć się teraz przyłączyli do Łoktka, nie bardzo uprzejmie witano... Wielu się odwracało z pogroźkami i opryskliwym łajaniem.

Nałęcz radzi nie radzi wskazywali na Wincza...

Przebaczone mu było — lecz ci co ucierpieli, strat swoich darować nie mogli.

Wincz też po pierwszym z królem spotkaniu, napastowany pół słowy i wejrzeniami, poszedł z gorzkim uczuciem schronić się do swojego namiotu i siedział bolejąc nad tem, że się przeszłość zatrzyć nie dała...

Tu zastała go żona nie jakby zwycięzko wyszedł z walki, lecz niemal jako pobitego i upokorzonego...

W milczeniu uściśnął ją. — Czytała w twarzy męża, iż cierpiał.

— Nie dano mi było zginąć — odezwał się — choć pragnąłem śmierci... Ciężkie będzie życie moje...

— Wszystko przebaczone — przerwała Halka — król łaskaw.

Wojewoda wskazał po za namiot, na kupy, które się snuły.

— A kto *im* pamięć odejmie? — rzekł — ci mi nie przebaczą... Król — dodał po przestanku — ciągnie ku Poznaniowi, odstać od niego nie mogę, pójdę i ja.. Ale tam — poproszę, by mi ciężar z ramion zdjął... Nie chcę dowództwa — pragnę spokoju.. Siądziemy na wsi...

Halka pocieszać się go starała, lecz czoło zostało nawisłe chmurami. On sam sobie przebaczyć nie mógł.

Florjan Szary za staraniem Hebdy złożony w jego namiocie, opatrzony przez kanonika Wacława, w strasznój gorączce marzył o pobojo-wisku...

Pamiętna opieki, jaką miał nad nią, Halka, natychmiast szukać go poszła, dowiedziawszy się o ranach okrutnych, jakie mu zadano.

Ksiądz Wacław powiadał o nim, iż mógł się wyleczyć z nich, lecz długiego potrzeba było czasu i starania, nimby życie za ocalone uważać można. Król sam pamiętny tego słowa, które na pobojo-wisku od mężnego rycerza usłyszał, zalecał pieczę mieć nad nim.

Prosto z pod Płowców, Łoktek nie tracąc czasu, wraz z wojewodą ciągnąć musiał do Poznania, aby Czechów uprzedzić...

Biskup Matjasz litościw nad umarłemi, dla rannych też miał serce ojcowskie, Florjanowi i innym ciężko okaleczonym, których rany spokoju i ducha bezpiecznego potrzebowały, ofiarował schronienie we dworze swym w Brześciu Kujawskim. Tu łatwo ich nawet na noszach przenieść było...

Wojewodzina, która czekać musiała z powrotem do domu, aż by się wojna w Poznańskiem skończyła — schronić się miała z woli męża do Brześcia.

Tak więc Szary, który wprzód nią się opiekował, zyskał teraz w niej opiekunkę troskliwą.

Brześć i Radziejów napęłniły się rannemi — których liczba znaczną była.

Po pierwszym opatrzeniu ran przez kanonika Wacława, i po przebyciu gorączki, a niemocy jaka nastąpiła po niej, Szary, przeciwko wszelkim lekarskim przepowiedniom, w dziwny sposób szybko do zdrowia przychodzić począł.

Obietnica króla, w której spełnienie święcie wierzył; niecierpliwość powrotu do domu, zobaczenia żony, dzieci, ojca, dawały mu siłę cudowną, która z każdym dniem rosła.

W izbie dworca biskupiego, leżało ich trzech porabianych, których wojewodzina odwiedzała codziennie. Jeden z nich Starża, młody był i rękę tylko miał przeciętą, silny i zdrów, przecież rany mu się jąrzyły i cierpiał więcej, niż Szary. —

Drugi w wieku Florjana ze zgniecionemi nogami, żyć sobie obiecywał, lecz na koń już się nie spodziewał się nigdy.

Szary, choć tak straszliwie poszarpany, wierzył w to mocno, że byle zszyte rany się zrosły, zdrów musi być...

Codzień prawie tęskniło mu się tak za domem, a niepokój go ogarniał o sąsiada tak wielki, iż by się był zerwał i jechał na wozie, byle do swoich.

Nie puszczano go.

Biskup Matjasz, co grzebał umarłych, przychodził do nich codzień i uczył cierpliwości.

— Ojciec mój — mówił Florjan całując go w rękę — ja dla siebiebym cierpliwość miał, ale dla żony i dzieci, dla starego ojca, których tam porzuciłem na łasce Bożej i rodziny mej, trudno mi tu zcierpieć... Na wozieby się dowlókn...

— Drogi zły, zimno okrutne... rany niezgojone — mówił biskup. — Czekajcie...

Wojewodzina, przed którą bolał i skarżył się Szary, w ostatku się jego niepokojowi ulitowała.

Miała wóz i woźniki dobre, ludzi podostatkiem; sama tu zmuszona siedzieć, tęskniła wielce. Gdy Szary poczał, obwiązany cały, poruszać się i wstawać na gwałt, aby siłę swą pokazać, rzekła dnia jednego.

— Niema z wami rady, jeżeli ks. Wacław dozwoli, odwiezę was żonie.

Gdyby był mógł Szary paść jój do nóg! lecz z łóżka mu się ciężko podjąć było. Ręce jój tylko ucałował.

Tegoż dnia kanonik rany opatrzył i na nalegania odpowiedział, jak to lekarze i duchowni zwykli, groźném słowem a szorstko.

— Chcesz się koniecznie zgubić, trudno ci za-
bronić — rzekł — zamiast pociechy żonie i dzie-
ciom smutek sprawisz... Czekał aż powiem... Nie
zatrzymam dnia jednego, gdy ujrzę, że podróż
znieść możesz.

Florjan zmilczał, ale w oczy księdzu patrzył
co dnia, a ten się uśmiechał.

Jednego dnia wręście, ręką rzucił, gdy woje-
wodzina go spytała po cichu i — dał do zrozu-
mienia, że jechać z biedy było można...

Wysłano tedy najlepszy wóz, okryto go ka-
blakami i skórą, przyodziano Szarego, i po
pożegnaniu, a błogosławieństwie biskupa Matja-
sza, wojewodzina z nim wyruszyła w drogę.

Jesień była późna, pospieszyć z rannym, choćby
i chciano, nie pozwolił lekarz, musiano się wlec
noga za nogą. Wojewodzina, miasto na drugim
wozie spoczywać, niemal całą drogę, pieszo szła
z różańcem w ręku, jakby pielgrzymkę pobożną
odbywała.. Była też to pielgrzymka miłosierdzia.

Florjan leżał osłonięty, coraz to się po cichu
ludzi rozpytując, kędy byli, jak się miejsca zwały,
ile drogi zrobili...

Jemu podróż wydawała się nieskończoną, a im się bardziej ku Pilicy zbliżali, tém niepokój rósł.

Zdrowie się nie pogorszyło w drodze, bo je nadzieja utrzymywała.. Uśmiech czasami zjawiał się na bladej twarzy jego — to go spędzał niepokój.

Wojewodzina, sama w trosce o męża, krzepiła go jak mogła...

— Miłościwa opiekunko moja — rzekł jój jednego wieczora Florjan, gdy go ludzie na noc do izby znieśli... — Myślę ja sobie ciągle o żonisku i dzieciach... Kto tam wie, czy do nich doszło co już o bitwie, a o mnie pewno żadnej wieści nie mają. Co się tam z niemi dzieje, jeżeli Domna wie, że naszych tyłu padło??

Jak mnie tam na wozie im przywieziecie, gotowi pomyśleć, że im trupa odsyłają z pobojowiska...

Półtora dnia powolnej drogi, jeszcze zostało do Surdegi, gdy wojewodzina odezwała się.

— Chcecie, to pojedę przodem do waszej??

Florjan odpowiedział tylko spojrzeniem wdzięczném.

Nazajutrz wojewodzina, starszego sługę zostawiwszy przy Szarym, sama pospieszyła do Surdegi, jednego dnia się tam dostać spodziewając..

Ludzie, choć im drogę dobrze rozpovedziano, pobłądzili trochę i noc nadeszła, a Surdegi widać nie było... W ostatku po przepaścistych

groblach i moczarach wlokąc się, wóz złamano, koło pękło i z jednym z czeladzi musiała Halka pieszo iść, szukając schronienia.

Wedle powieści ludzi, zamek miał być niedaleko...

Uradowała się wielce, gdy na pagórku ujrzała zabudowania, a w nich światło. — Nie wątpiła wcale, iż gródek być musiał, do którego dążyła i, dobiwszy się po grobelce do wrót, słudze stuknąć kazała...

Wrzawę jakąś słychać było na zamku, dla której pewnie, bicie do bramy, nie rychło usłyszano, aż wrótny się zjawił klnąc, z drzazgą w ręku, a za nim kilku strasznych parobków, którzy na widok kobiety samej ze służką — śmiać się okrutnie i do środka wojewodzinę ciągnąć zaczęli.

Przelekła się w pierwszej chwili, widząc, iż chyba omylić musiała, lecz mężna i przytomna wnet odzyskała odwagę — odparłszy więc groźnie tych, co ją za ręce chwytały, poczęła naprzód pytać o Surdegę...

— Toć to! trafiliście, jak raz... Surdegą jest zaśmiał się jeden z chłopów...

Wojewodzina stała jeszcze w progu, gdy rozpychając gromadę tę, zjawił się mężczyzna, twarzy dzikiej, porąbanej, na którego widok wszyscy rozstąpili się i umilkli. Poznała w nim pana...

Śmiało więc ozwała się do niego, z zapytaniem, czy to w istocie Surdegą była...

Zagadnięty nie odpowiedział na to pytanie.

— Powiedźcie mi, kto wy jesteście i jakim sposobem się tu znajdujecie?—rzekł gburowato— ja to naprzód prawo mam wiedzieć...

Spokojnie i wcale nie okazując obawy, wojewodzina odparła...

— Jadę z rannym, z pobojuwiska pod Płowcami, gdzie król moc krzyżacką pobił na głowę, a mąż mój, zowie się Wincz z Pomorzan, wojewoda Wielkopolski.

Nachmnrzył się słuchając — ten który badał i głową potrząsał...

— Ranny? któż ranny? — spytał...

-- Florjan Szary...

Pytający, Nikosz Bąk, rozśmiał się na całe gardło..

— Że go nie zabili — tego... — zawołał.

Wojewodzina z tego wykrzyku domyśliła się, w czyje ręce wpadła, a dość jej o nim rozpowiadał Florjan. Nie strwożyła się tém jednak...

Zamiast wyrywać się precz, postąpiła dumnie kilka kroków.

— Widzę — rzekła — żem nie trafiła do Surdegi, jakom chciała, ale pod nieprzyjacielski dach. Przecież żonie wojewody królewskiego i tu odpocząć dadzą...

Nikosz milcząc, cofnął się...

Naprzeciw drzwi stały otworem, w których się świeciło.

Śmiało wojewodzina szła ku nim. Nikosz nasępiony za nią, reszta ludzi prowadziła ich oczyma zdala...

Izba, do której weszła Halka, niska, obwieszona do koła odzieżą, bronią, skórami pobitych zwierząt, miała duże ognisko, na którym ogień płonął z jednej strony, z drugiej wysłane było łoże na ziemi. Dwa psy wyciągając się, mručeniem przyjęły gościa...

Nikosz, jakby jeszcze niepewien był, co począć, wskazał miejsce na ławie, sam stojąc przed nią. — Halka usiadła...

— Król pobił Krzyżaków? — zapytał gospodarz.

— Zwycięstwo wielkie Bóg mu dał, starszyzny i rycerstwa zginęło wiele... — rzekła wojewodzina.

— Szary ranny? — he? — mruknął Nikosz...

— Ranny, ale mu to wyjdzie na dobre, dał Bóg — poczęła wojewodzina spokojnie. — Bił się jak lew... Już pod koniec dnia, gdy posiłki Krzyżakom nadciągały — chciał własną ręką komtura wziąć... Broniący go Krzyżacy trzema włóczniami brzuch mu rozpruli...

— Ha! — rozśmiał się Nikosz...

— Nadjechał potem król — ciągnęła Halka, patrząc na gospodarza — i zobaczywszy go tak strasznie okaleczonym, zawołał.

— Co człowiek ten cierpi... Szary zaś miał

jeszcze tyle siły, iż królowi odpowiedział... —
Mniej ja tu cierpię, niż od złego sąsiada!!

Nikosz przerwał takim wykrzykiem, i pięści mu się nagle ścisnęły tak groźnie, iż inna by niewiasta ulękła się go — wojewodzina spojrzała nań tylko i dodała.

— Otóż król mu swe słowo pańskie dał na pobojuwisku, że go od sąsiada uwolni...

Nikosz, któremu oczy zdawały się z pod powiek wyskakiwać, usta zagryzł i krok się cofnął... Milczał długo...

— Król! król! — wyjęknął szydersko... ale z twarzy i głosu, poznać było można, iż sam przed sobą klamał odwagę, której nie miał.

Począł się wpatrywać w wojewodzinę, niedowierzająco, ale razem trwożliwie.

— Gdzież ranny ten... jest? — zapytał...

— Leczy go królewski doktor, kanonik Wacław w Brześciu na Kujawach—odparła wojewodzina... — Król mu go sam polecił...

Nikosz spojrzał z podełba i znowu mruczeć zaczął.

— Król! król!!

— A cóż król ten, sąsiadowi jego zrobić może? — ozwał się po chwili zadumany...

— Albo to kobieta jak ja, wiedzieć ma?... Jam się podjęła tylko żonie dać znać, że żywa jest — i z tém jechałam do niej...

Wóz mi się na drodze ułamał.

Nikosz słuchał dumając ciągle.

— Król! król! — zamruczał pod wąsem...

Ale nie w smak mu pono była ta zapowiedziana opieka pańska. Zawrócił się od ognia wgląb izby kilka kroków, przyszedł bliżej i wojewodzinie się przypatrywał bacznie.

Walka jakaś w nim, toczyła się widocznie, która dlań była nieprzyjemną.

— Jakaście ludzcy — rzekła Halka po chwili — pomóżcie mi, abym się do Surdegi dostać mogła.

— A mnie co wy i Surdega waszał — zżymając ramionami zawołał nagle Nikosz. Może to ja jestem tym sąsiadem, na którego ten pies, co go trzy krzyżackie włócznie nie dobiły, skarżył się królowi?... To ja za to, że on na mnie nasadził króla, będę wam pomagał dla niego?

Rozśmiał się na głos...

— Gdybyście to uczynili, rozum byście mieli, nie powiem już więcej... bo lepiej wam pono króla nie gniewać i nie drażnić. Mały on jest, ale ręce długie ma...

— Jakby to wszystko prawda była! — ze śmiechem odparł Nikosz...

— Wolno wam wierzyć lub nie — zawołała wojewodzina. — Czyńcie jak wam lepiej.

I zamilkła dumnie, Nikosz popatrzył na nią. Dziwnem mu się to zdawało, że słaba, jedna kobieta, w jego rękach będąca, wcale się go lękać nie zdawała, i takie męztwo okazywała.

Mięszało go to widocznie—przeszedł w koniec izby zamysłony, mrucząc coś sam do siebie.

Wojewodzina wstała z ławy, otrzęsła nieco obmokłe suknie, zwróciła się ku niemu.

— Dacie mi ludzi do pomocy?? — zapytała.

Nikosz podumał znowu.

— Ludziom i mnie, trzeba za to zapłacić — rzekł gburowato. — Innego czasu i z was by mi się okup należał, bo odemnie nikt tak nie wyszedł bezkarnie... — dodał patrząc na nią — ale z babami wojować nie chcę...

Zapłacicie — poślę po wóz ludzi.

— Zapłacę — cóż mam robić! jeśli n was taka gościnność! — odezwała się wojewodzina.

— Jam nie chłop, abym przewód dawał darmo — ofuknął Nikosz...

— Zapłacę — potwierdziła Halka...

Nikosz ku drzwiom podszedłszy, wychylił głowę i na swoich huknął. Czekali oni w pobliżu, może innego spodziewając się końca, gdy im kazał światło wziąć i wozu pójść szukać...

Stało się, jak zlecił. Tymczasem udobruchany nieco gospodarz, może napomnieniem o gościnności zawstydzony, jedzenie kazał podać...

Sam stał nieco opodal i znowu o Florjana, o rany jego, o przygodę i rozmowę z królem rozpytywać począł. Wojewodzina powtórzyła mu, co powiedziała wprzód, rozwodząc się nad tém, jak król sam wielkie miał o rannym staranie.

Nikosz mruczał — król! — śmiał się, ale jednak niepokój go ogarniał.

Dawszy się posilić wojewodzinie, sam potem ogień na kominie przykładał i po troszę jęj służył — zbywszy się pierwszej swęj gburowatości.

Na ostatek o sobie mówić zaczął z żalem i bólem wielkim, że mn sąsiad wziął, co on najdroższego miał, że gdyby nie on, Domny by był dostał i na ziemianina takiego wyszedł, jako drudzy...

— Zalał mi on za skórą, com nie miał mu oddać! — zawołał... — Król nie wie nic.. niechby mnie posłuchał...

Złagodniał wręście, na świat i ludzi tylko narzekać poczynając, gdy służba wóz wojewodzinęj przyprowadziła. Nie upominając się już o zapłatę Nikosz, koło podprawić kazał i dał przewodnika do Surdęgi...

IX.

Radość i przestrah razem przyniosła z sobą żona wojewody, przybywszy w nocy do zamczku, który zawsze jeszcze w obawie o sąsiada, tak czujną był otoczony strażą, jak czas wojny.

Wrót jej w początku otwierać nie chciano, chociaż mówiła im o sobie i o Florjanie — obawiano się zdrady. Nareszcie wyszedł stary ojciec na wyżki, rozpatrzył się w szczupłym orszaku wojewodziniej, i na zamek ją puszczono.

Domna stała tu już, z mniejszem dziecięciem na ręku, posłyszawszy o mężu, niecierpliwa, by się coś o nim dowiedzieć.

Wiść o bitwie pod Płowcami głucha i niepewna, doszła tutaj, ale z niej o losie tych, co walczyli, nie wniesć nie było można.

Opowiadano, że padło ich wielu, że zwycięstwo było okupione drogo.

Wszyscy więc tu w trwodze byli o Szarego, wiedząc, jak rad niebezpieczeństwa szukał i siebie nie szczędził.

Wojewodzina poczęła od tego, że im oznajmiła o Florjanie...

Domna poskoczyła do niej żywo, z radością razem i niepokojem, nie umiejąc sobie wytłumaczyć, co wojewodzina w tych stronach — mogła mieć za sprawy i dlaczego się tu znajdowała.

— Jam ci też Leliwianka — rzekła przybyła Halka — i dla tego się czuła obowiązana, Florjanem zaopiekować.

— A on! on! gdzież jest? — zapytała Domna.

— Nadaży wkrótce — odezwała się Halka — wyście męznego serca niewiasta, nie będę więc tała przed wami, że rannym był w bitwie...

Domnie oczy się załzawiły, dziecko przycisnęła do piersi.

— Ranny był? — szepnęła, pilno się wpatrując w mówiącą.

Stary ojciec drżał słuchając...

— Dziś już rany znacznie pogojone, a że mu pewnie nigdzie lepiej być nie może, jak w domu — więc przybędzie wkrótce...

Wszystko to Domnie się jeszcze nie dość wydawało jasnem — stała, czekając coś więcej.

Weszły razem do dolnej izby, w której młoda

pani ze swemi prądkami i dziećmi siadywała wieczorami. Stary powlókł się za niemi...

Wojewodzina obejrzała się do koła, zaczęła podróżną odzież zdejmować, ale nie spieszyła z opowiadaniem, na które oczekiwano.

— Pani moja miłościwa — odezwała się podchodząc ku niej Domna, która dziecię złożyła w kolebce... — Nie kryjeie nic przedemną — mówcie mi o moim... wszystko.

To, czém się Bogu jego dotknąć podobało — ja z nim dzielić powinnam. — Bóg mi da mężstwo! ja wszystko chcę wiedzieć!

Jestem córką ojca, który za młodu rycerzem był — ród mój cały nie inną sprawą się parął — my niewiasty ich, choć zbroi nie wdziewamy, serca zbroić mnsiemy...

Uściskała ją wojewodzina.

— Siostro ty moja — rzekła z rozrzewnieniem — my! my wprowadzie ran nie odnosim, krwi nie lejem, ale odboleć musimy za wszystkich — i w naszych sercach odbija się, co oni cierpią... — Bóg z tobą. Florjan żyw powraca, zdrów będzie — ale wycierpiał wiele...

Trzy krzyżackie włócznie, rozdarły mu wnętrzności — cndem ocalony został... Jedzie on tu i jutro będzie przy tobie...

Król sam znalazł go na pobojuwisku, a mężny człek, gdy nad nim się użalał, jeszcze miał siłę

mu się poskarżyć, że od sąsiada cierpiał więcej, niż od tych ran, które mu włócznie zadały...

Domna rękami zakryła twarz... Starzec zalał dłonie, milczeli wszyscy, wojewodzina dalej mówiła.

— Król mu przyrzekł, że go od sąsiada uwolni, sam opatrzyć go kazał, i dziś już niema niebezpieczeństwa...

Z płaczem rzuciła się młoda pani dziękować zwiastunce, potem jak nieprzytomna pobiegła uklęknąć i pomodlić się — potem chciała natychmiast choćby na koń siąść i naprzeciw męża jechać — lecz Halka nie dozwoliła na to, ojciec się oparł...

Wojewodzina nie powiedziała nic jeszcze o swój bytności u Bąka, i teraz dopiero, gdy Domna zaczęła się kłopotać, aby mściwy sąsiad nie napadł w drodze na Florjana — o swojej przygodzie mówić poczęła.

Wszyscy wydziwić się nie mogli, iż z niej cało wyszła.

— Powiedziałam ja mu — dodała wojewodzina — o tém, co król przyrzekł Florjanowi, i zdaje się że Nikosz, choć się uśmiechał z tego, musiał wziąć do serca królewskie słowo...

Domna się przecież nie uspokoiła, poki naprzeciw męża ludzi kilku zbrojnych nie wysłała...

Halka, która choć zdala, patrzała niemal na straszną walkę pod Płowcami, i dla męża swe-

go — o którego się lękała, o najmniejsze jej szczegóły dopytywała — poczęła teraz opowiadać o tym dniu pamiętnym, w którym krzyżacka dumma ukróconą, a okrucieństwo ich ukarane zostało...

Co żyło we dworze, cisnęło się słuchać do izby, pośde drzwi — i milczenie uroczyste, okrzykami radości i znakami krzyża świętego przerywane tylko — panowało w czasie powieści Halki, która sama się nią zapaliła i unosiła...

Młoda pani swym mężem i jego mężstwem bohaterskiem, czuła się dumną. Łzy jej wysychały od tego ucznia radości i czci dla człowieka, który tak prostym być umiał, tak skromnym, a tak rycersko w życiu się całem sprawował...

Rósł w jej oczach ukochany mąż, potężnego ducha, który blizkim śmierci będąc, pamiętał o tém tylko, aby królowi rodziny swój spokój i przyszłość polecić.

Przy nim maleli inni, którzy wielkiemi być chcieli, a nie mieli cnoty jego żelaznej... zwyciężającą cierpienie, urągającą się śmierci...

— Mój Florek! — powtarzała sobie z bijącym sercem i wracającemi do łez oczyma... — Mój!!

Całowała dzieci i chciałaby była powiedzieć im, jak mieli czcić ojca — na to jej słów brakowało...

Nazajutrz zameczek od rana gotował się jak

do uroczystości wielkiej, na przyjęcie swojego pana.

Wieść od dworu poszła po wioskach — z echem królewskich słów i obietnic.

Gromady zbierały się witać wracającego na granicy. Ze wszystkich wsi, postrojony świętecznie lud, cisnął się na drogę wiodącą do zamczku.

Opowiadano sobie i to co było i to, co każdy z serca dodawał do powieści o trzech włóczyniach i o złym sąsiedzie. Historia stawała się już legendą, która wieki przetrwać miała,

Na zamku Bąka, postrzeżono ten ruch wielki i niepokój około Surdegi, lecz ztąd nikt się nie ruszył, ni pomagać, ni przeszkadzać. Z za ostrokołów Nikosz patrzył niespokojnie, rozkazawszy zamek zaprząć, a ludziom broniąc wychodzić z niego; jakby się lękał o siebie.

Domna zaraz dała znać do Lelowa, z kąd brat jej i co żyło, skoczyło także na spotkanie Florjana.

Z woza swego, przysłoniętego skórą, Szary zbliżając się ku domowi, wyglądał coraz niespokojniej. Znajoma okolica dozwalała mu obliczać czas i odległość, mierzyć biciem serca zbliżanie się do Surdegi.

Napróżno jednak naglił i prosił powożących, aby pospieszali — rozkaz był wydany, aby ранego wieźli powoli, wozowi się nie dając prze-

chylać. Szli słudzy z obu stron po złych przeprawach podtrzymując go, aby wstrząśnienia nie czuł. Lecz o ranach swoich i o cierpieniu zapomniiał Florjan, tak pilno mu było swoich zobaczyć, Domnę uścisnąć.

Dobili się tak do granicy, gdzie krzyż stał, a koło niego ludzi kupa... Włodarz z częścią gromady z Lasek i Woźników, podbiegł pierwszy do pana.

Stary sługa po nogach go całował, a gromada wołała radośnie i ciągnęli z nią dalej. Czuł się już między swojemi.

— Miły Boże! — mówił w duchu — leżąc na pobojożyłku, gdy sądziłem, że mi już ostatnia nadeszła godzina, czym się ja spodział, że tej chwili dożyję?

Gdy przeciągali naprzeciw zameczku Bąka, drżącą ręką Florjan nieco skórę odgarnął i spojrział na Wilczą górę. Stała, jakby na niej żywej duszy nie było — choć skrycie wiele oczów ciekawych patrzyło z niej na ten orszak, posuwający się dołem ku Surdędze.

— Hej! hej! — mruczał Nikosz z za płota — prowadzą go, jak z pogrzebem idąc. Któż wie? Może mu życia nie wiele zostało, a z nim, gdy zdechnie, i obietnica królewska pójdzie do dołu.

Staął wóz nagle, choć do zamku jeszcze kawał drogi było — przed Florjanem ukazała się

siwa głowa ojca i biały czepiec żony, na rękę trzymającej dziecinę.

Plakali wszyscy i ściskali ręce, a mówić nikt nie mógł...

Gdy wóz się zatrzymał w podworcu, a ludzie na ręce wzięwszy Szarego, do izby go nieśli — on trzymając za rękę żonę, uśmiechał się wesoło do niej i do dziecka.

— A no! — zawołał — smutkom tym i łzom daćby pokój! Jest się z czego radować i Bogu dziękować.

Podniósł do góry drgną rękę i zakrzyczał wesoło.

— Ojcie kochany, kubka, choć kroplę wypijemy prze zdrowie króla i korony naszój...

Do żony się zwrócił.

— A wy! odezwijcie się co wesołego. Piosnkę zanucić! Rycerska rzecz zawsze dobrej myśli być w złej i pomyślniej doli równo.

Wziął kubek podany i do ojca obracając się.

— Króla zdrowie! niech nam długo i szczęśliwie panuje!!

X.

Od powrotu Florjana, choć na zamku zawsze się po staremu strzeżono od sąsiada — Bąk najmniejszego powodu do obawy i znaku życia nie dawał.

Na Wilczěj Górze wszystko się zdawało usypiać, jakby go w niej nie było. Ludzie nawet jego, dawnym swym zwyczajem, psot żadnych nie czynili.

Stary Dalibor, zawsze niedowierzający, utrzymywał, że chyba podłe owe człeczysko coś bardzo niegodziwego gotuje i ma na wątrobie. Nie dawało się to jednak czuć wcale.

Tymczasem wojna się skończyła, z Krzyżakami niby to jakieś układy i pokojowe rozmowy poczęto, choć w dobry ich skutek nikt nie wierzył. Tracono tylko czas, który oni zyskać chcieli, a do końca dobić się z niemi nie było można.

Króla Jana odpędzono od Poznania, doma ludzie trochę spokojniej oddychali do czasu.

Szary zaraz po godach wstawać począł, chodzić, z włodarzem się naradzać, na koń mu się chciało, ale żona nie dozwalała się wybrać, dopóki by do lepszych sił nie przyszedł.

Często gęsto wspomniano o królu, czy też on obietnicę swą strzyma.

— Król stary, a ma tyle na swój głowie spraw głównych, iż pewnie zapomniał, co mu się na pobojuwisku z ust wyrwało — mówił ojciec. — Nie grzech by mu było pokłonić się pójść i przypomnieć.

— Nie uczynię tego — odpowiadał Florjan. — Nikosz jakoś cicho siedzi, a iść do króla po zapłatę za krew, nie ziemiańska rzecz, ale żołdacka. Dla swojej ziemi i dla korony Chrobrego się to czyniło — niech będzie Bogu na chwałę!

Tyle zrobimy, że kozła na hełm wyprawim, a moje trzy włócznie w tarczę włożym tak, jak one mi w brzuchu tkwiły! Dość mi na tém.

Żona nigdy się mężowi nie sprzeciwiała, dla niej on zawsze słuszość miał. Ojciec też zamilkł, nie nalegał.

Począł się Florjan coraz pilniej krzątać około domu, bo się wcześniej jakoś na wiosnę zbierało, a na wsi, nim ona przyjdzie, trzeba być gotowym na jej przyjęcie.

Z Krakowa jak nie było, tak nie było wieści żadnej.

Ale poczęły po kraju chodzić pogłoski, że Krzyżacy się znówu na Kujawy wybierają i na Brześć chcą ciągnąć.

Drogi ledwie obsychać zaczynały, gdy dnia jednego do izby chłopak wpadł, do siedzącego na ławie pana wołając, że do zamku ktoś w kilkadziesiąt koni ciągnie.

— A no! — odparł spokojnie Florjan — jak gość przybędzie — wrota mu otworzymy, czém chata bogata... Dostojny pan, czy ubogi człek, tём go przyjmę, co mam — choćby i król sam, więcej nie dam, nad to co mogę.

Jeszcze sobie tak wesoło żartował, a żona do okien biegła wyglądać, gdy od wrót szum się stał — wołano...

— Wojewoda!

Stary z Florjanem wyszli naprzeciw niego.

Zsiadał właśnie z konia, rozglądając się po zameczku — a twarz miał dosyć wesołą.

— Oho! — zawołał do Szarego, patrząc nań — jużście to na nogach?

— Dzięki Bogu, a pono w sam czas — odparł Florjan z pokłonem — bo coś o wojnie bąkają. Krzyżacy na Brześć mają ciągnąć. — Trzeba będzie spróbować na siodło.

— No, wy jeszcze spocząć możecie — odpowiedział Hebda — tój biedzie na Kujawach je-

dnakże jesteście winni, że gdy o niej była mowa u króla — stary sobie was przypomniał i nakazał mi zaraz jechać, abym złego sąsiada okupił, choćby najdrożej.

I z tém ja do was przybywam.

— Bóg zapłać królowi panu.

Wprowadzili do izby wojewodę. Przyjmowano go serdecznie, ale po ziemiańsku, jak Florjan mówił, chlebem powszednim, dostatkiem domowym, żadnego nie czyniąc zbytku.

Po kubku jednym, drugim, odezwał się Hebda.

— A co, miły bracie—u mnie czasu omal zawsze, zawezwać by go tu w imieniu króla i....

Syn i ojciec, oba głowami potrzęśli.

— Jakośmy żywi, ten zbój naszego progu nie przestąpi. — Darujcie panie wojewodo, ani on nie zechce, ani my tego dopuścim...

Stary wtórował — Hebda się zadumał, nie w smak mu to było.

— Nadtośmy sobie nadojedli — mówił Dalibór. — Człek zły jest i my z nim zgody nie chcemy, bo z takimi jak on, družba nie potém. Niech idzie na kraj świata, by go nasze oczy nie oglądały — i tyle.

Nie spierał się już wojewoda. Dworu swojego część zostawił w Surdędzie, konia kazał przyprowadzić i pojechał sam do Bąka.

U niego ciągle jeszcze od powrotu Florjana, cicho było i pusto... Ludzie nawet z Wilczój

Góry nie zadzierałi się z chłopami z Woźnik jak dawniej — do bójek na granicy i po lasach nie przychodziło.

Zdawało się, jakby i sam Nikosz zmęczył się tem, i spokój wołał.

Wojewoda przodem posłał urzędnika swojego z łaską białą, aby o nim oznajmił, powiadając, że od króla był wyprawiony.

Gdy nadciągnął — wrota już stały otwarte na oścież, a w nich Nikosz czekał ubrany na prędcę w szubę dostatnią, z łańcuchem na szyi, w kołpaku na głowie sobolowym, z mieczem u boku. Straszniejszym i brzydszym był jeszcze, niż zwykle.

Twarz miał jak wosk żółtą, a oczy mu biegały jak u kota, gdy psy za nim gonią.

Wprowadził milcząc Hebde do izby, w której, zda się, na unyślnie służba dzbanów srebrnych, i kubków nastawiła więcej, niż było potrzeba, aby się bogactwem pochlubić. Zbieranina to była różności, nie jednej matki dziatki, jakby i z kościółów i ze dworów się to poschodziło — ale błyszczało.

Wojewoda nim siadł na ławie, rzekł...

— Jadę do was, od króla z rozkazaniem... Musicie mu z téj posiadłości ustąpić — nie komu ale królowi samemu.

Nikosz głowę bardzo nisko skłonił, ale śmiał się szydersko.

— A jakbym ja dać jój nie chciał?—zapytał.

— To król znajdzie, za co dać was sądzić, bo skarg i żalów na zbytki wasze dosyć jest. Więc i ziemia się nie ostoi—i głowa w dodatku..

Bąk szuby poprawił.

— Z królem a z biskupem — rzekł — ziemianinowi się nie borykać. Wiem ci ja, z kąd to wszystko płynie, za co na mnie ta groza.. Siła by mówić o tém, ale mnie nie posłuchają.

— Słowo wam nie pomoże nic — przerwał wojewoda. — Mówić możecie, co chcecie, a ziemię królowi trzeba dać.

Nikosz się strząsł tylko.

— Wojny prowadzić trudno! — burknął.

— Król niczyjej krzywdy nie chce — ciągnął dalej Hebda, przypatrując mu się ciekawie. — Otóż wiedźcie, że wam daje ziemi w dwójnasób tyle, koło Nowego Sącza. Jest i dwór i ludzi trochę i młynek.

Nikosz począł słuchać z uwagą większą — klaniał się.

Wojewoda odpowiedzi czekał, ale jój nie otrzymał. Bąk milczał, tarł w rękę połę sukni i w ziemię oczy wlepiwszy, ustami ruszał.

— No, cóż? — zapytał Hebda.

— Cóż ma być! — zamruczał Nikosz — kiedy mus...

— Zatem — podchwycił wojewoda prędko — czém prędszy koniec, tém lepszy. Wynieście się rychło, a w Sądeczczynie osiadłszy, z ludźmi

żyjcie we zgodzie; aby na was żalów i skarg nie noszono.

— Miłościwy panie — zawołał, zwolna głowę podnosząc Nikosz — człek, gdyby chciał, ze skóry swój nie wylezie. Będą mi ludzie dobrzy, będę im druhem; zajdzie mi kto w drogę, jako tu Szary, krew nie woda.

Raz człek żyje i raz umiera.

Mnsiał wojewoda podany kubek przyjąć, choć mu się pić nie chciało. Miód był stary, i jak smoła czarny.

Nikosz poczał rozwodzić żale, a sam pił chciwie i dużo. Blade jego lice rozgorzało, i z złotego stało się niemal siném, widać było, że się w nim burzyło wszystko.

Hebda słuchał obojętnie.

— Kiedyż mi puścicie wasz gródek? — zapytał — bo ja tu urzędnika mojego do odbioru zostawić muszę.

Nikosz się trochę nasrożył.

— Wypędzacie mnie — rzekł — pilno się mnie im pozbyć.

I chwilę podumawszy, rzekł ze słością.

— Za dzień, za dwa—wozy mojegotowe będą — byłem zaraz tamtą ziemię dostał... pójdę ztąd, pójdę bez żalu...

— Ziemię król przeznaczył, i rozkazy a pisanie dostaniecie w Krakowie — rzekł wojewoda.

To powiedziawszy, wstał zaraz Hebda i przynaglając jeszcze, począł iść do konia.

Razem wyszli w podwórze, gdzie już urzędnik czekał, który miał pozostać, aby mu zamek był zdany.

Nikosz uśmiechnął się, spojrzawszy na tego przystawa, którego mu dawano — nie opierał się.

Wojewodę do wrót odprowadziwszy, z pychą wielką do swój izby powrócił.

Hebdzie pilno było, więc ledwie do Surdegi zajechawszy z dobrą nowiną, nie patrząc nocy, która nadchodziła, natychmiast dalej pociągnął.

Radość była wielka, jakby wszystkim z serca kamień spadł — króla pod niebiosa wynoszono. Teraz dopiero swobody zażyć mieli, wrota otworzyć, zbyć się nieustannęj trwogi. Florjan z ojcem naprzód już układali, jak ziemię, której obszar był znaczny, osadzać będą, gdzie młyn pobudują, jak w lasach z barciami się rozgospodarują, bo pszczoł był dostatek, a z nich ziemianinowi najwięcej grosza płynęło.

Domna uśmiechając się mówiła.

— Barcie dobre, ale sen spokojny, jeszcze lepszy.

Stary Dalibór niemal po całych dniach, na wyżkach stał wypatrując, kiedy się ten Nikosz w drogę wybierać zacznie. Przez trzy dni nie widać nie było, czwartego otwarły się wrota, wozy poczęły wyciągać, potem stado pędzili,

dalej ludzie szli i jechali — całym obozem — kobiety i dzieci.

Droga najprostsza byłaby im musiała iść koło Surdegi, ale umyślnie sobie dalszą i gorszą wybrali, aby się im nie przypatrywano i nie urągano.

Do wieczora ciągle się jeszcze coś z Wilczej Góry wlokło — aż nareście i psa nie zostało. Urzędnik dał znać, żeby przybywano, bo nikogo nie było.

Włodarz posłany, bo ojcu i synowi nie było pilno, zastał pustkę, jak po Tatarach — i urzędnika, który już się w drogę wybierał, podarku nie czekając, bo mu pobyt u Nikosza dokuczył.

Florjan nie spieszył do nowej posiadłości, ludzi tylko wysłał, aby gródek osadzili i opatrzyli wszystkie kąty. Dalibór chciał się sam wybrać, lecz syn go po rękach całując, zatrzymał.

— Djabeł tam mieszkał długo — rzekł. — Poślemy naprzód po księdza, niechaj wszystkie kąty poświęci i oczyści słowem Bożem.

Natychmiast więc włodarz z wozem po wika-rego pojechał, i nazajutrz owo gniazdo plugawe pokropiono wodą święconą, aby je dla Szarych przystępném uczynić... Mogli więc już jechać bezpiecznie, lecz Florjan się i teraz nie kwapił. Odłożyli do jutra.

Szli tedy spocząć i Dalibór w swojej izbie właśnie miał się do snu położyć, bo zawsze naj-

później szedł na spoczynek, a wstawał najraniiej, gdy przez szczeliny okiennicy dostrzegł promyk jakiś, jakby na dworze coś świeciło.

Odsunął prędko okienniczkę i — stanął przerażony.

Ogromna luna gorzała na niebie. Nie mógł się w początku z przestachu opamiętać — gdzie pożar się wszczął i zląkł o samą Surdegę — ale ogień, choć blizki, z za wałów się ukazywał.

W tem i stróże poczęli wołać.

— Gore!!

Płonęły zabudowania na Wilczej Górze — do których już z wiosek biegli ludzie na ratunek.

Ani oni jednak, ani ci, co na zamku byli, ogniowi straszemu nie mogli dać rady, ani się nawet zbliżyć do niego.

Zabudowania podpalone na wszystkie cztery rogi, gdyż pakuły i smołę poznajdowano pod ścianami — gorzały tak szybko, iż ci, co w izbach spać się pokładli, ledwie uszli z życiem.

Nie dość na tém, chałupy i szopy na podzamczu, które dla nowych osadników służyć miały, płonęły też wszystkie i do rana nie zostało z nich nic, oprócz kupy popiołów...

Ostatnia to była zemsta Nikosza Bąka, który wszystko zdawszy w całości, postarał się o to, aby po nim Szary nie wziął nic, oprócz pustki i zgliszcza.

— Kat go bierz — zawołał Florjan patrząc na pogorzel zdala — ja na téj górze nie pobuduję nic, niechaj pustką stoi, a świadczy na wiek wieków, o miłym sąsiedzie!!

XI.

Było to w roku następnym 1332, na dni kilka jakoś przed uroczystością narodzin św. Jana Chrzciciela—Florjan z ojcem i żoną, brata Leliwę i kilku ziemian przyjmowali u siebie.

Powieściom o zwyciężkiej owój wyprawie staro-
go króla pod Płowce, nie było końca; bo gdziekolwiek się Szary ukazał, nie dawano mu spokoju, zagadując go o to co widział, słyszał, czego naówczas był świadkiem.

Mówiliśmy już, że owe trzy włócznie Krzyżackie, które mężnego rycerza przebodły, wziął on był sobie do szczytu, a że stary swój w Krakowie przemałowac kazał. Opatrywano tarczę nową, skórą ociągniętą i gwoźdźmi złocistymi obitą, na której dosyć misternie skrzyżowały się trzy kopje — zawołanie też rodu z Koźlarogów

zmieniło się na Jelita... aby dzieci i wnuki pamiętały, czém swój szczyt opłacił nowy.

Setny może raz Szary powtarzać musiał, jak to król długo potajemnie za Krzyżakami chodzić musiał, wyczekując chwili, gdy się pomścić będzie mógł za kraju zniszczenie; jak wojewodę Wincza, pocziwa żona odwiodła od zdrady, z królem pojednała, skłoniła go, aby Krzyżaków porzucił.

— Święta to niewiasta — mówił Florjan — nie żałowała trudu, nie zważała na niebezpieczeństwa, i męża ocaliła od sromu, a król z jego pomocą pokonał Krzyżaków...

— Prawda to — odparł Leliwa — że juści po troszę to złe, które uczynił, naprawił. Król mu przebaczył, zatarło się niby — a no szlachta wielkopolska nie zapomniała mu, że z Krzyżakami majątności jęj najeżdżał.

Po tém com słyszał, w skórze jego do dziś dnia bym nie chciał być.

— Mój bracie — odezwał się Florjan — ziemianie nasi, prawda, na razie krwi są bardzo gorące, i gdy ona w nich zakipi, rąbać i zabijać gotowi, ale też nikt tak prędko nie ostyga, jak my.

Wojewoda do domu powrócił, ludzie z lasów też i na nowo poklecieli chaty; straty się po troszę zapomniały — dadzą mu pokój. Ma to za sobą

Wincz, że Krzyżackiemu łupieztwu na żaden sposób zabieżeć nie mógł.

— Ale się na nie patrzył, ale z niemi chodził— dodał Leliwa — Nałęcz nie Nałęcz gromy nań ciskają—on wszystkiemu winien. On!

Mówię ci, w skórze jego nie chciałbym być. Z dobrego to źródła wiem, że się nań naposiedli, i że go zgładzą, a z nim wszystkich, kto żyw...

Florjan się porwał z siedzenia niespokojny.

— Niechże Bóg uchwali! — zawołał. — Gdybym wiedział, że mu grozi w istocie niebezpieczeństwo, jemu i Halce pobiegłbym na pomoc, bo mi tój kobiety żal... okrutny...

Leliwa głową pokręcił.

— Niewiele byś tam pomógł — rzekł. — To wiem, że nań spisek jest, że ludzi do niego należy siła, i że im nie ujdzie!

Grzymała opowiadał, niedawno powróciwszy ze zjazdu ziemian, który we Srodzie był, iż tam się sprzysięgali nieprzyjaciele wojewody, krzywd swych na nim powetować... Zdrajcy łeb ściąć, z rodziny nikogo nie szczędzić i wszystko z dymem puścić...

Szary się wzdrygnął.

— Jeżeli tak jest — rzekł — jutro na koń z ludźmi siadam i do Pomorzan muszę.

Rzucili się mu wszyscy odradzać, poczynając od ojca, ale Szary twardo przy swoim stał.

— Nie może to być, abym naszą powinowatę,

która mnie chorego pielęgnowała i do domu wiozła, opuścił... Pomogę nie pomogę, powinność spełnię.

Domna nie mówiła nic, błagająco patrzała na męża Dalibór rozjątrzonego łagodził.

— Bajki plotą — szeptał cicho — darmo się zerwiesz — a i ludzi sobie narazić nie dobrze... Dać temu pokój. Palca we drzwi wkładać nie trzeba.

Florjan milczał, lecz po wyjeździe Leliwów drugiego dnia w drogę się wybierać zaczął..

Ludzi dobrał sobie zbrojnych kilkunastu, żonę pożegnał, ojca i ruszył najprostszymi drogami na noc całą.

O mil sześć od domu, przyszło spocząć. W gospodzie siedzieli podróżni przy piwie. Jechali do swoich do Sieradzia, a byli wielkopolanie.

— Co tam słychać koło Poznania? — zapytał Szary.

Wąsaty, gruby ziemianin śmiać się począł dziko.

— Dobrze słychać! dobrze — rzekł, panosząc się i w bok biorąc — łotrom łby ścinają, aby drudzy się kajali.

— Jakim? komu? — rzekł Florjan poblądłszy nieco.

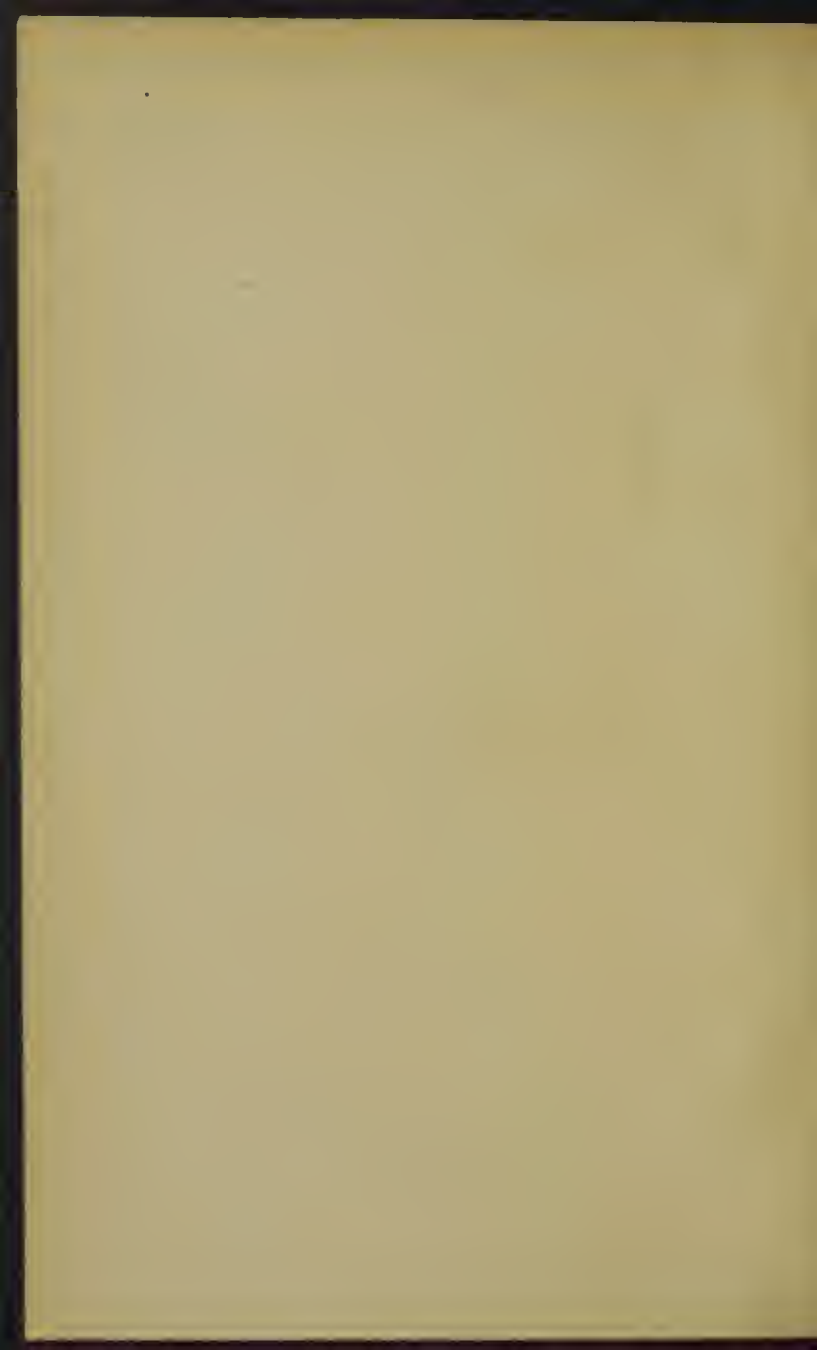
— Tak ci jest, tak — ciągnął dalej podróżny. — W samą wigilią narodzenia Ś. Jana Chrzcici-

ciela, nasi najechali na dwór w Pomorzanach,
i — stała się sprawiedliwość, zdrajcę wojewodę
posiekano w kawałki, nie zostało żywej duszy,
dwór spalono...

Kara boża, choć przez ręce ludzkie. Tak niech
wszystkim zdrajcom bywa. Amen.

KONIEC.





Biblioteka Raczyńskich

JIK 989



JIK0989